

LIBERTÉ!

numer 92/marzec 2024



SAMO-RZĄDNI

MACIEJ KISIŁOWSKI ° DOMINIK JAŚKOWIEC ° MICHAEL GIELETA
PIOTR BENIUSZYS ° MICHAŁ RÓŻYCKI ° MACIEJ KAMIŃSKI ° MAGDALENA M. BARAN
JAKUB ANDRZEJ LUBER ° SYLWIA DZIEMIŃSKA ° AGATA KOWALSKA
ANNA PIETRUSZKA ° MACIEJ CHMIELEWSKI ° BRENDA SHAUGHNESSY



MAGDALENA M. BARAN

Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

Gdy kilka miesięcy temu tak tłumnie szliśmy do urn wyborczych liczyła się demokracja. Liczyła się wolność. Liczyły się szanse jakie możemy zyskać, ale i kłamstwa, które chcieliśmy pożegnać. Każde „Tak” i każde „Nie”. Taka myśl, że warunkiem demokracji jest odzyskanie państwa dla obywateli, dla nas. Że konieczne jest uwolnienie energii społecznej, które przez osiem lat dawała o sobie znać... od wielkiego dzwonu. Że aby spełnić marzenie o państwie, w którym poczujemy się bezpiecznie, gdzie funkcjonować będą instytucje, gdzie do głosu dojdzie praworządność, gdzie nauka i media będą oddawać sprawiedliwość prawdzie, a nie ideologii, gdzie – wreszcie – nie będziemy musieli martwić się o prawomocność wyborów, potrzebna jest... ta odrobina zaufania do ludzi składających obietnice. Że mówiąc „Nie” autorytaryzmowi, który „smażył” dla nas PiS, musimy powiedzieć „Tak” demokratom.

Dziś również liczy się demokracja. Liczy się zawsze, ale niebawem zdecydujemy o tym, jak rządzone będą miejsca nam najbliższe – miasta, wsie, województwa, gminy, powiaty. Od 25 lat – bo tyle minęło od czasu reformy administracyjnej wprowadzanej przez rząd Jerzego Buzka – nasza samo-rządność wzrasta i rozwija się. Czasem swobodnie, a kiedy indziej wbrew zapędom ponownego centralizowania decyzji, które powinny być podejmowane na niższych, a przecież nie mniej istotnych, szczeblach władzy. Decyzje faktyczne, a nie deklaracje co też przy sprzyjających wiatrach może udałoby

U SIEBIE, CZYLI GDZIE?

się zrobić. Rzeczywistość i codzienność (podobnie jak ja) nie lubią trybu przypuszczającego, pustych obietnic, gdybania czy półprawd; nie będą też czekać bez końca. Wolą fakty, szybko weryfikujące wyborcze obietnice, których realizacji nie blokuje ten czy inny urząd – znów – w centrum, ale za które odpowiadają rządzący w miejscach nam „zamieszkańciami” najbliższych. A powinni decydować – wraz z zaangażowanymi obywatelami – o znacznie poważniejszych kwestiach związanych z urządzeniem naszych małych ojczyzn; powinni otrzymywać więcej władzy, a wraz z nią powiększać swoją odpowiedzialność za miasta, wsie, gminy, województwa, powiaty, a także swoją odpowiedzialność wobec wybierających ich mieszkańców.

Mieszkańców z urodzenia czy z wyboru stanowiących nie tylko o urządzeniu, rozplanowaniu, zamożności, zazielenieniu/zabetonowaniu czy kulturowym osadzeniu danego miejsca. Mieszkańców, którzy – niezależnie od tego, co wpisano w ich dowód tożsamości – chcą być częścią samorządowej całości. Bo przecież „bycie skądś” niekoniecznie w pełni definiuje nasze prawdziwe pochodzenie, a już na pewno nie ogranicza horyzontów (nie tylko naszej wyobraźni). Bo – korzystając z naszej osobistej wolności – wybieramy miejsca do życia. Niektórym przychodzi to z łatwością, inni męczą się przez większość, jeśli nie przez całe życie. Jedni zostają, gdzie byli zawsze, inni tułają się, jeszcze kolejni mają szczęście trafić w dziesiątkę, a – wcale nie

ostatni – poszukują Arkadii... idealizując krainę dzieciństwa bądź inne „magiczne” miejsca. I nie ma w tym nic złego/nadzwyczajnego. Szukamy miejsca na ziemi. Nie tego, gdzie utknęliśmy przez obowiązki, związki, przesady czy konieczności, ale tego, w którym – podobnie jak z drugim człowiekiem – chcemy być. Miejsca, w którym nie będzie nam towarzyszyła wyłącznie pozorność i pustka, powtarzalność lub nuda, niekończące się konieczności, ale takiego, gdzie możemy spokojnie czytać/pracować/być z innymi/odpoczywać/śmiać się/plakać/zasnąć.

Gdziekolwiek znajdziemy takie „u siebie”/„przy sobie”, towarzyszyć nam będzie wolność, a zatem i podmiotowość. Podmiotowość każdej i każdego z nas jako rozumnej jednostki, ale także podmiotowość wybranego miejsca, której strzeżenia mamy prawo domagać się od rządzących na każdy, szczebel. Podmiotowość, która nigdy nie oznacza tożsamości, a właśnie zrozumienie specyfiki osoby/wspólnoty/miejsca, potrzeb, wyzwań, obowiązków, konieczności, a wreszcie i określających nasze cele wartości. Mirosław Dzielski pisał kiedyś, że „na społeczeństwie musi na codzień spoczywać brzemień odpowiedzialności, tylko wtedy będzie ono w stanie rozumnie strzec wolności”... Również i tę myśl warto mieć w głowie/w sercu zastanawiając się nad każdym „u siebie, czyli gdzie?” Ja już wiem...



SAMO-RZĄDNI

- 6** • **PIĘĆ PYTAŃ O SAMORZĄDNOŚĆ**
Maciej Kisilowski
- 12** • **SZEROKIE OTWARCIE GMIN**
Piotr Beniuszys
- 18** • **CZY KRAKÓW POTRZEBUJE METROPOLII?**
Dominik Jaśkowiec
- 24** • **DLACZEGO KANDYDUJEMY?**
Maciej Kamiński
- 28** • **CIEMNA STRONA KANDYDATÓW NIEZALEŻNYCH**
Jakub Andrzej Luber
- 32** • **IX EUROPEJSKIE KONGRES SAMORZĄDÓW**
Michał Różycki
- PRZYWÓDZTWO PRZYSZŁOŚCI**
-
- 38** • **WIEM, ŻE NIC NIE WIEM, CZYLI DLACZEGO WARTO ZAPROSIĆ DO ZARZĄDZANIA FIRMĄ PRAWNICZĄ NIE-PRAWNICZKĘ?** *Agata Kowalska, Anna Pietruszka*
- IDEE I...**
-
- 44** • **JOHN STUART MILL NA DRODZE DO RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIET**
Sylwia Dziemińska
- EKONOMIA DZIŚ**
-
- 56** • **KTO UMIE W SAMORZĄDY?**
Maciej Chmielewski
- KULTURA DLA MYŚLENIA**
-
- 64** • **THE WINTER OF OUR DISCONTENT**
Michael Gieleta
- LEKTURY LIBERAŁA**
-
- 72** • **POLITYKA, JEDNOSTKA, WOJNA**
Magdalena M. Baran
- TRZY PO TRZY**
-
- 76** • **„NAJBARDZIEJ NIEWDZIĘCZNY WYBORCA”**
Piotr Beniuszys
- WIERSZ WOLNY**
-
- 78** • **PRZENIEŚĆ SIĘ DALEKO**
Brenda Shaughnessy



PIĘĆ PYTAŃ O SAMORZĄDNOŚĆ

MACIEJ KISIŁOWSKI

Czy jedność Polski, jej siłę, instynktownie identyfikujemy z jednakowością, a regionalne i lokalne różnice traktujemy jedynie jako coś podejrzanego, zło konieczne? Czy też w różnorodności wyborów politycznych mieszkańców wspólnot samorządowych widzimy potencjał rozładowywania napięć społecznych a także uczenia się od siebie i eksperymentowania z różnymi sposobami rozwiązywania trudnych i nieoczywistych problemów w dzisiejszej polityce publicznej?

Już za parę tygodni wybierać będziemy władze samorządowe. Samorządowe, czyli jakie? Ostatnie lata pokazują, jak bardzo polski ustrój konstytucyjny pełen jest niejasności i wewnętrznych sprzeczności. Dziś szczególnie wyraźnie widać niejasną ustrojową rolę Prezydenta RP, ale podobne wątpliwości można mieć w odniesieniu do samorządów. Z jednej bowiem strony konstytucja w artykule 164. określa radykalną wręcz wizję oddolnej Rzeczypospolitej, w której samorząd terytorialny wykonuje wszystkie „zadania publiczne nie zastrzeżone dla innych władz publicznych”. Z drugiej jednak strony mamy wyraźnie centralistyczną praktykę ośmiu lat metodycznego osłabiania samorządów przez PiS, jak również brak jasnej samorządowej wizji ustrojowej ze strony Koalicji 15 października.

Tę lukę próbuje od lat zapełnić grupa ekspertów z ponadpolitycznego stowarzyszenia Inkubator Umowy Społecznej (IUS). Prace IUS podsumowaliśmy w „Umówmy się na Polskę” – wydanej nakładem Znaku w maju ubiegłego roku pracy zbiorowej pod redakcją prof. Anny Wojciuk i moją. Z proponowanymi przez nas konkretnymi rozwiązaniami ustrojowymi można dyskutować. Natomiast zarówno książka, jak i prace IUS zwracają uwagę na kilka fundamentalnych warunków koniecznych samorządowej Rzeczypospolitej. W tych fundamentalnych obszarach, które sprowadzić można do pięciu zasadniczych pytań, odpowiedź wyznacza granicę pomiędzy postawami rzeczywiście prosamorządowymi a fasadową

retoryką o „małych ojczyznach” i „Polsce lokalnej”. Retoryką, która jest często wygodna nie tylko dla polityków w Warszawie, którzy nie chcą podzielić się władzą, ale i dla wielu samorządowych władarzy, którzy mogą bać się odpowiedzialności związanej z rzeczywistym, a nie tylko udawanym, samo-rządzeniem.

Pytanie 1: Czy Polki i Polacy w różnych częściach kraju powinni mieć możliwość życia inaczej od siebie?

Wszystko zaczyna się od tego właśnie pytania. Czy jedność Polski, jej siłę, instynktownie identyfikujemy z jednakowością, a regionalne i lokalne różnice traktujemy jedynie jako coś podejrzanego, zło konieczne? Czy też w różnorodności wyborów politycznych mieszkańców wspólnot samorządowych widzimy potencjał rozładowywania napięć społecznych a także uczenia się od siebie i eksperymentowania z różnymi sposobami rozwiązywania trudnych i nieoczywistych problemów w dzisiejszej polityce publicznej?

Nasza samorządność zawsze będzie fasadowa jeśli nie zaakceptujemy, a nawet nie pokochamy Polski, w której ważne sprawy polityki publicznej są – zgodnie z wolą mieszkańców – w różnych częściach kraju rozwiązywane inaczej. Autentycznie prosamorządowa polityczka lub polityk muszą czuć się komfortowo z Polską, w której aktualna władza w Warszawie nie ma na wszystko perfekcyjnej odpowiedzi. W której szkoły na Pomorzu Zachodnim mogą uczyć inaczej niż te na

Podkarpaciu. W której w niektórych gminach czy regionach można handlować w niedzielę, a w innych nie. W której Poznań przyciąga inwestorów, turystów oraz zatrzymuje młodych innymi sposobami niż Lublin. W której w różnych częściach kraju inne są priorytety inwestycyjne, inna estetyka instytucji kultury, inne rozwiązania w zakresie integracji migrantów.

Doprecyzujmy: konkretna lista tych usamorzędowanych zagadnień to kwestia do dyskusji. Natomiast pro-samorządowi politycy powinni mieć

Sprawdźmy czy na pewno. W demokratycznym państwie prawa, głównym instrumentem kształtowania polityki państwa musi być prawo. W autentycznie usamorzędowanej Polsce, kluczową rolę w systemie prawnym musi zatem zajmować prawo miejscowe.

W propozycji Inkubatora Umowy Społecznej, głównym samorządowym prawodawcą staje się województwo. Sejmik i nowy senat wojewódzki, złożony z wójtów, burmistrzów i prezydentów miast z danego regionu z siłą głosu proporcjonalną do

Zgadzasz się na realne samo-rządzenie lokalnych i regionalnych społeczności – na różnorodną, demokratycznie policentryczną Polskę? Super! Sprawdźmy czy na pewno

instynkt wspomnianego art. 164 konstytucji: swobodę „domniemania kompetencji samorządu”. Jeśli nie ma mocnych, przekonujących argumentów za centralizacją, to oddajemy władzę niżej. Czyli, z grubsza, instynkt dokładnie odwrotny od tego, co mamy dzisiaj.

Pytanie 2: Czy prawo miejscowe powinno stać się podstawowym źródłem prawa w Polsce?

Zgadzasz się na realne samo-rządzenie lokalnych i regionalnych społeczności – na różnorodną, demokratycznie policentryczną Polskę? Super!

reprezentowanej populacji, mogą przyjmować uchwały wiążące nie tylko organy województwa, ale także gminy i powiaty. Z tą konkretną propozycją znów można się zgodzić, natomiast nie sposób wyobrazić sobie jakiegokolwiek logicznego „dokończenia” lub „domknięcia” budowy naszego ustroju samorządowego bez znaczącego zwiększenia roli prawa miejscowego, przewidzianego w art. 94 naszej Konstytucji.

W jakich obszarach najprościej zwiększyć rolę miejscowego prawodawstwa? Przede wszystkim w kwestiach takich jak edukacja czy kultura,



w których samorząd i tak wykonuje już dziś większość zadań publicznych. W stanie obecnym, samorząd wygląda bowiem tak jak robotnik, który sam kopie dół, ale tylko na podstawie szczegółowych instrukcji wianuszka patrzących mu na ręce ważnych Panów z Warszawy. Widać to wyraźnie po dzisiejszych dyskusjach o (kolejnych!) reformach naszych szkół: dyskutują o nich polityczki i politycy w Warszawie, a nie demokratycznie wybrani samorządowi liderzy, którzy na co dzień zajmują się prowadzeniem placówek. W takim modelu trudno mówić o „samo-rządzie”, można co najwyżej o zdekoncentrowanym wykonawstwie czy administracji edyktów z Warszawy.

Pytanie 3: Czy podatek PIT powinien zostać w całości przekazany samorządom?

Kolejne pytanie sprawdzające szczerą Twoich samorządowych intencji. Nie ma bowiem samorządności bez finansowej niezależności. A tę można osiągnąć łatwiej niż mogłoby się wydawać. Już dziś znaczna część budżetów jednostek samorządu terytorialnego pochodzi z ustawowo określonej części podatków PIT i CIT. Tyle że te odpisy są niewystarczające, przez co rząd centralny musi wciąż do nich dopłacać. Jak wskazują szczegółowe analizy moich współautorów z *Umówmy się na Polskę* – dr. Macieja Bukowskiego, prof. Mikołaja Herbsta i dr. Tomasza Kaczora – gdy podliczymy

wszystkie dzisiejsze wydatki samorządów, przede wszystkim na prowadzenie szkół – suma tych wydatków przewyższa całość wpływów państwa z podatków CIT i PIT. Rodzi to oczywiste pytanie: jaki jest sens przekazywania tylko niewielkiej czę-

naturalne, by przynajmniej PIT uczynić podatkiem samorządowym. O szczegółach znów można i trzeba rozmawiać – natomiast generalna idea, by swoje zadania samorzady w większym stopniu realizowały z rzeczywiście własnych dochodów,

Doświadczenia trzech dekad samorządności pokazują stałość zagrożenia recentralizacją – to znaczy powolnym odwracaniem przez władców z Warszawy reform zmierzających do realizacji konstytucyjnej aspiracji, by domyślnie władza pozostawała jak najbliżej obywateli i obywateli

ści wpływów z podatków dochodowych samorządom, a następnie niezupelnianie dziury „dosypkami” z Warszawy?

Odpowiedź jest oczywista: dosypki to idealny pretekst, by władza w Warszawie zyskiwała bat na samorządowców. By narzędziami fiskalnymi wymuszać wspomniany, fundamentalny paradigmat jednakowości – rolę samorządów nie jako kreatorów różnych lokalnych Polsk, tylko jako pacynki tworzących utudę „samo-rządu”, a w rzeczywistości zależnych od sznurków pociąganych z Warszawy.

W polskiej strukturze dochodów państwa – w której wydatki centralne z powodzeniem pokrywają się z wpływów z podatku VAT, akcyzy oraz składek na ubezpieczenia społeczne – byłoby

jest absolutnie konieczna dla „urealnienia” polskiej samorządności.

Pytanie 4: Czy popierasz likwidację urzędu wojewody jako „namiestnika z Warszawy”?

Wizja samorządowej polski nigdy nie ziści się, jeśli utrzymamy dziwaczną, unikatową w skali międzynarodowej dwuwładzę w naszych województwach, w których współlistnieje samorządowy marszałek – lider regionalnego samorządu – z mianowanym centralnie wojewodą. Ten układ nie ma żadnego sensu. Marszałka województwa wybiera sejmik, który z kolei wybierają mieszkańcy – Polki i Polacy. Województwo to nie kolonia Warszawy, gdzie potrzeba namiestnika – pełnoetatowego nadzorcy lokalnych włodarzy. Tak jak nie powołujemy namiestników patrzących na

ręce ministrom lub urzędów centralnych, tak nie ma powodu, by samorząd terytorialny znajdował się pod specjalnym nadzorem. Istniejące instrumenty: sądy administracyjne, służby antykorupcyjne i specjalne, są zupełnie wystarczające, by ograniczać samorządowe nadużycia. Nie ma zresztą danych świadczących, że nadużycia te są poważniejsze niż te, których dopuszczają się politycy w centrum.

W propozycji Inkubatora Umowy Społecznej urzędy marszałka województwa i wojewody łączymy w jeden urząd samorządowego wojewody. A na dodatek dajemy mieszkańcom regionu możliwość wyboru w swojej Karcie Wojewódzkiej, czy samorządowy wojewoda wybierany jest w wyborach powszechnych czy – tak jak obecnie – poprzez większość w Sejmiku.

Pytanie 5: Czy Senat RP powinien stać się izbą samorządową?

Obiecanej w Konstytucji z 1997 policentrycznej, usamorządowanej Rzeczypospolitej nie da się

zrealizować bez zmiany jednej z konstytucyjnych instytucji centralnych: Senatu RP. Już w 1990 roku strona demokratyczna postulowała, by Senat stał się izbą samorządową. Plany te zablokowali wtedy postkomuniści. Do tej idei należy dziś wrócić. I to nie tylko dlatego, że Senat w dzisiejszej formie nie ma funkcjonalnego i systemowego uzasadnienia. Doświadczenia trzech dekad samorządności pokazują stałość zagrożenia recentralizacją – to znaczy powolnym odwracaniem przez władców z Warszawy reform zmierzających do realizacji konstytucyjnej aspiracji, by domyślnie władza pozostawała jak najbliżej obywateli i obywateli. Bez instytucjonalnego „lobby” Polski samorządowej, mogącego skutecznie wetować centralistyczne zapędy Warszawy, samorządność nigdy nie stanie się stabilnym fundamentem ustroju RP. ●



PROF. MACIEJ KISIŁOWSKI

Profesor prawa i strategii na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Wiedniu. Naukowo zajmuje się strategicznym podejściem do prawa i polityki, publikując w trzech dyscyplinach: prawie, zarządzaniu i naukach politycznych. Współautor artykułów naukowych w wiodących czasopismach, w tym w „Law and Social Inquiry” oraz „Business and Society”, oraz czterech książek, w tym *Administracji* wydanej w pięciu językach (wyd. pol. Studio Emka 2016). Jego komentarze publikowane były m.in. w „Los Angeles Times”, „Foreign Policy”, „Politico”, „Project Syndicate” i „Haaretz”. Jest współtwórcą i wiceprezesem stowarzyszenia Inkubator Umowy Społecznej (IUS) i współredaktorem *Umowy się na Polskę* (Znak 2023) - książki prezentującej kompleksową propozycję reform ustrojowych przygotowaną przez IUS. Absolwent uniwersytetów Yale, Princeton i Inseadu.

SZEROKIE OTWARCIE GMIN

PIOTR BENIUSZYS

Wybory parlamentarne 2023 należały do najciekawszych w Polsce po upadku realnego socjalizmu. Może były wręcz najciekawsze ze wszystkich tych wyborów, wyjąwszy jedynie wybory do Sejmu kontraktowego 1989? Pozostawiając werdykt co do tego Czytelnikowi, skonstatujemy, iż nadchodzące wybory samorządowe 7 kwietnia 2024 mają szansę znaleźć się w zupełnym kontraście do wyborów parlamentarnych – jako możliwe, że najnudniejsze w dziejach wolnej Polski.

W ciągu grubo ponad pięciu lat, które minęły od poprzednich wyborów samorządowych, w Polsce pogłębił się rozjazd poglądów na osi metropolie-miasta-miasteczka-wsie. W tym okresie PiS sukcesywnie słabł i nadal słabnie w największych miastach Polski. W efekcie jeden z głównych obozów politycznych w kraju nie jest dziś już w stanie nawiązać nawet walki o urzędy prezydentów miast. Nie tylko nie będzie w stanie wymuszać drugich tur. Tu i ówdzie do ewentualnych drugich tur nawet wchodzić nie będzie, zajmując trzecie i dalsze miejsca w tej rozgrywce. Przykładowo w Gdańsku, w wyborach do Sejmu PiS zdobył jesienią zaledwie 22% głosów, co dziś skazuje na klęskę partyjnego kandydata do urzędu prezydenta. Skutkiem tego jest wystawianie przez partię polityków z trzeciego szeregu do tych wyborów, jako że bardziej rozpoznawalni nie chcą dać twarzy zupełnej porażce.

W wyborach lokalnych PiS zwykle wypadł bliżej niż w innych starciach. Dlatego wybory samorządowe były najbardziej interesujące w okresach relatywnej potęgi PiS, gdy ciekawie mogło pytanie, ile sejmików uda się partiom demokratycznej opozycji obronić przed krajowym hegemonem. W wyborach przypadających na okres słabości PiS, gdy sondażowe wyniki tej partii dalej lecą w dół od października, wiadomo, że prawicę w samorządach czeka pogrom. Ma ona szansę utrzymać 5-6 marszałków województw, ale może także spaść do poziomu 0-2 marszałków. Wynik sejmikowy w kilku województwach południowo-wschodniej Polski to bodaj jedyny ciekawy element tych wyborów.

W miastach i miasteczkach wybory wygryają najczęściej ci, co zwykle. Słabość PiS być może spowoduje kandydatów partii obecnej koalicji rządowej do „bratobójczych” starć (w Krakowie?), lecz w większości dużych miast kontrahentów pogodzą ubiegający się o ponowny wybór demokratyczni prezydenci, najczęściej nieposiadający żadnej legitymacji partyjnej. Wprowadzony limit kadencji dla włodarzy miast i gmin wejdzie w życie dopiero w kolejnych wyborach, zatem tym razem możemy spodziewać się fali reelekcji, często w pierwszej turze. Krótka kampania (na sześć tygodni przed wyborami jeszcze się w zasadzie nie rozpoczęła) także uwytkła ten obraz: wybory wydają się politykom formalnością i trzeba je tylko stosownie „odbyć”.

Nudne wybory nie muszą jednak oznaczać nudy w samorządach przez całe kolejne 5 lat. Nie mając realnej opozycji, włodarze i rady miast może daliby się namówić na dynamizację życia politycznego lokalnej wspólnoty poprzez otwarcie jego bram jeszcze szerzej na obywateli? Ryzyko nie wydaje się przesadnie wysokie, co czyni wiele polskich samorządów obiecującą przestrzenią dla wypróbowania nowych politycznych instytucji. Zwłaszcza że wraz z upadkiem władzy PiS i oddaleniem ryzyka autorytarnej przesilenia w Polsce, tysiące zaktywizowanych w różnych zrzeszeniach obywateli stoi przed perspektywą zawieszenia działalności na kołku i ponownego wycofania się w przestrzeń prywatną. Tymczasem nieduża liczba aktywnych politycznie obywateli była do 2015 r. poważną bolączką naszej demokracji. Aby zapobiec takiemu regresowi, warto znaleźć dla tych aktywistów nowe pola działalności. Takim polem mogą stać się samorzady.

Do rad miast czy sejmików wiedzie droga podobnie wąska jak ucho igielne. Na obsadę mandatów radnych szanse ma zwykle niewiele list, a biorące miejsca są z reguły zarezerwowane dla długoletnich działaczy partyjnych. Poza tym perspektywa objęcia mandatu radnego niewielu ludziom kojarzy się z „przygodą życia”, a raczej z zajęciem dość technicznym i mało porywającym. Typowy aktywista, który zdobywa w końcu mandat radnego, wpuszczony „taskawie” na listę przez tą czy inną partię, szybko zostaje

odarty z wizerunku dynamicznego lidera lokalnego i tonie w proceduralnych mitręgach urzędniczej rzeczywistości.

Tymczasem coraz więcej miast czy regionów Europy testuje rozwiązanie, którego adwokatem na łamach swoich książek od kilkunastu lat jest belgijski historyk David van Reybrouck. Poszukując metod na wyjście z kryzysu instytucjonalnego liberalnych demokracji w państwach Zachodu, van Reybrouck zaproponował rewolucyjne poszerzenie zakresu obywatelskiej partycypacji oraz odtworzenie dialogu społecznego pomiędzy politycznie zwaśnionymi stronami czy grupami społecznymi o rozbieżnych interesach. Uwiad dialogu/debaty uznał on bowiem za najważniejsze prądniki kryzysu i za przyczynę wzrostu poparcia dla sił antysystemowych w zasadzie w całej Europie.

Van Reybrouck jest rzecznikiem losowego wyłaniania dodatkowych „izb parlamentarnych” z obywateli pogrupowanych według socjologicznych kryteriów, które zachowują relewancję w procesach politycznych. W ten sposób chciałby on powoływać do życia zgromadzenia równocześnie reprezentatywne dla społeczności państwa/regionu/gminy, ale i złożone z obywateli wybranych przypadkowo, drogą losowania, niebędących więc profesjonalnymi politykami, niekiedy bez wcześniejszego backgroundu w społecznym aktywizmie. Autor koncepcji obiecuje sobie po tym takie skutki jak: wniesienie do



procesu decyzyjnego perspektywy „zwykłego człowieka”, stworzenie dobrego środowiska dla rzeczowego i opartego o faktyczne argumenty dialogu ludzi o różnych poglądach i wartościach, skonfrontowanie oczekiwań uczestników zgromadzeń z treściami ekspertyz przedłożonymi im w pierwszym etapie obrad, uzyskanie większej akceptacji dla decyzji w sprawach kontrowersyjnych, gdy ich autorem będą nie politycy, a „tacy sami ludzie jak ja”.

Podczas gdy włączanie tego rodzaju ciał w procesy polityczne na poziomie całego kraju stanowi wizję dość kontrowersyjną w demokracji liberalnej oraz zasadniczo niewykonalną, zważywszy na wielką liczbę aktów prawnych przyjmowanych przez parlamenty, to jednak na poziomie samorządowym te perspektywy wyglądają bardziej obiecująco. Zbierające się z reguły raz w miesiącu rady procedują dalece mniejszą liczbę uchwał aniżeli Sejm i Senat. Dodatkowo

ich znaczna część ma jednak charakter zupełnie niebudzący kontrowersji politycznych. Spraw rozgrzewających emocje mieszkańców miasta czy gminy w ciągu roku jest najwyżej kilka.

Być może warto, aby polskie wspólnoty lokalne otworzyły się w ten sposób szerzej na partycypację mieszkańców nie tylko w charakterze doradczym, ale i decydenckim? Można wyobrazić sobie, że w ciągu kadencji, raz w roku (czyli pięć razy łącznie), dla spraw budzących żywe spory pomiędzy mieszkańcami i działaczami powołane zostaną losowo wyłonione „Obywatelskie Rady Miasta”, które po wysłuchaniu ekspertyz będą prowadzić debatę nad stosownym rozwiązaniem. Zaś wybrane w wyborach, polityczne rady miast, zobowiążą się decyzyjnie rad obywatelskich przyjmując jeden do jeden w wiążących uchwałach.

Polskie miasta wykonały już kilka kroków w tym kierunku. Praktycznie powszechnie funkcjonują budżety obywatelskie (lecz ich wolumeny są dość ostrożne, więc dla każdego czytelne jest,

że te głosowania przypominają trochę rodzinne sytuacje, gdzie rodzic pozwala dzieciom zdecydować, na co pójdzie kieszonkowe), organizuje się także panele obywatelskie, które są zacznem „Obywatelskich Rad Miasta”, ale nie mają żadnych możliwości decydenckich, a także obradują zbyt krótko i pobieżnie, aby dać porównywalny efekt społeczny.

Prezydenci polskich miast z reguły cieszą się dużym poparciem i sympatią znaczących większości mieszkańców. Dla nich ryzyko oddania większej części władzy prosto w ręce obywateli wydaje się relatywnie najmniejsze. Jeśli przyszłością rzeczywiście jest więcej demokracji bezpośredniej, jeśli w istocie jest to najlepsze narzędzie odciągania ludzi od niebezpiecznych radykałów, to gdzie, jak nie w samorządach możemy wykonać kolejny krok w przyszłość? Niech nasze miasta staną się ciekawsze, radni pogodzą się z rolą notariuszy mieszkańców, a prezydenci mocniej uwzględnią wolę wyborców w swoich planach. To może wszystkim wyjść na dobre. ●

L!

„Bariery dla liberalizmu” Piotra Beniuszysa w Bibliotece Liberté!

Spoiwem dla 27 esejów zawartych w książce jest naświetlenie współczesnych realiów percepcji liberalizmu w jego zderzeniu się z różnorodnymi myślowymi czy mentalnościowymi barierami, często głęboko zakodowanymi w człowieku, które utrudniają – od zawsze lub we wzmożony sposób ostatnio – umacnianie liberalnych postaw i odnoszenie przez ideę kolejnych sukcesów w politycznych starciach z konkurencyjnymi sposobami myślenia.

Kluczem do przezwyciężenia kryzysu liberalizmu może się okazać nie zmiana idei liberalnej na chwilowo bardziej modną, lecz zmiana mentalności ludzi, wraz z przetaczaniem się jednych kryzysów, pojawianiem innych, zmianami pokoleniowymi. Wydaje się, że liberatowie potrzebują odwagi. Po to, aby z większą determinacją bronić własnych wartości przed nacjonalistami, socjalistami, klerykami i populistami. Ale potrzebują także odzyskać zdolność wlewania w serca ludzi otuchy, odwagi i optymizmu. Zebrane w tej książce teksty mogą pomóc tej odwadze poszukiwać.



PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!”, pisał także na łamach „Gazety Wyborczej”, tygodnika „Polityka”, „Dziennika Gazety Prawnej” oraz dla Instytutu Obywatelskiego. Autor książki „Bariery dla liberalizmu. Antologia tekstów” (Biblioteka Liberté, 2022).
Twitter: @piotr_beniuszys



CZY KRAKÓW POTRZEBUJE METROPOLII?

DOMINIK JAŚKOWIEC

Problemy mieszkańców dużych miast i problemy mieszkańców sąsiadujących miejscowości generowane są przez wzajemne oddziaływanie. Przyjęty w Polsce model ustroju samorządu terytorialnego nie kreuje dostatecznie skutecznych narzędzi dla ich rozwiązywania. Podział administracyjny kraju, w tym instytucjonalne oddzielenie miast na prawach powiatu od powiatów ziemskich, nie sprzyja integracji i wspólnemu działaniu.

Samorządy miejskie różnorako próbują sobie radzić z problemami generowanymi przez rozwijający się układ osadniczy. Część z nich inicjuje zmiany granic, poszerzając swój obszar, inne tworzą lokalne stowarzyszenia, korporacje samorządowe, nawiązując współpracę z okolicznymi gminami. Wszystkie te działania okazują się jednak niewystarczające. Korporacje samorządowe nie mają dostatecznych narzędzi do zarządzania wspólną przestrzenią, a poszerzające się miasta muszą w pierwszej kolejności zderzyć się z problemami niedysiejszych przedmieść, ponieść koszty ich integracji w jeden organizm miejski.

Jest to problem wymierny, który w sposób realny dotyka samych mieszkańców. Mieszkańcy sąsiadujących z dużym miastem miejscowości nie rozumieją, dlaczego korzystając ze wspólnego systemu transportu zbiorowego, muszą płacić więcej za przejazd od mieszkańców dużego miasta. Z drugiej strony mieszkańcy tego dużego miasta często uskarżają się na niekorzyści wynikające z faktu pełnienia przez ich miejscowość roli lokalnego centrum komunikacyjnego i usługowego.

Problemy warunkują się wzajemnie i wzajemnie się przenikają. Ich rozwiązaniem jest tworzenie związków metropolitalnych, które dają możliwość kształtowania nowych, skutecznych narzędzi prawnych. Co ważne, związki metropolitalne nie powinny być tworzone jako

konkurencja dla istniejących już jednostek samorządowych, ale jako ich funkcjonalne uzupełnienie, tak jak przewidywał to w swoich założeniach senacki projekt Ustawy o krakowskim związku metropolitalnym.

Układ urbanistyczny aglomeracji krakowskiej już dawno rozrósł się poza granice administracyjne Krakowa, tworząc zespół jednostek osadniczych liczący około 1,3 mln. mieszkańców. Aglomeracja krakowska ma charakter wybitnie monocentryczny, jej główną cechą jest występowanie jednego obszaru centralnego o dominującej funkcji społeczno-gospodarczej i dużej koncentracji ludności oraz kilku pierścieni zewnętrznych, podporządkowanych centralnemu miastu, w skład których wchodzi najbliżej położone Krakowa satelickie miejscowości: Wieliczka, Skawina, Niepołomice, Zabierzów, Zielonki, Węgrzce oraz te bardziej peryferyjne, powiązane z miastem centralnym funkcjonalnie, ale już nie urbanistycznie: Bochnia, Krzeszowice, Świętyni Górne, Słomniki, Myślenice.

Co bardzo charakterystyczne, obszar zwartej zabudowy krakowskiej aglomeracji nie pokrywa się w pełni z granicami administracyjnymi samego miasta. Przyłączone do Krakowa w latach 80. ubiegłego wieku wsie (zwłaszcza te we wschodniej części Nowej Huty) zachowały do dziś swoją odrębność, swój własny układ przestrzenny. Proces suburbanizacji, tak charakterystyczny dla polskich miast,

w krakowskiej aglomeracji najsilniej przebiega wzdłuż głównych arterii komunikacyjnych na osi północ-południe, a w zdecydowanie mniejszym stopniu zachodzi w kierunku wschodnim.

Szczegółowa analiza tego zjawiska pokazuje nieadekwatność odgórnych, administracyjnych procesów powiększania obszaru miasta, które nijak mają się do rozwoju jego układu urbanistycznego. Podobne działania, podejmowane w ciągu ostatnich lat przez polityków Prawa i Sprawiedliwości w stosunku do mniejszych miast wojewódzkich: Opola czy też Rzeszowa, rów-

RP poprzedniej kadencji przyjął projekt Ustawy o utworzeniu Krakowskiego Związku Metropolitalnego. Do wejścia w życie przyjętych przepisów konieczna była ich akceptacja przez Sejm RP, tak się jednak nie stało z uwagi na zakończenie kadencji parlamentu.

Senacki projekt ustawy tworzył nowe ramy prawno-ustrojowe dla współpracy Krakowa i jego satelickich miejscowości, współdziałających do tej pory w ramach stowarzyszenia Metropolia Krakowska. Samorzady, współdziałając w tej formule od ponad 9 lat, efek-

Związki metropolitalne nie powinny być tworzone jako konkurencja dla istniejących już jednostek samorządowych, ale jako ich funkcjonalne uzupełnienie, tak jak przewidywał to w swoich założeniach senacki projekt Ustawy o krakowskim związku metropolitalnym

niez były dokonywane w sprzeczności z procesem rozwoju ich układów osadniczych. Tworzenie związków metropolitalnych stanowi zatem alternatywę wobec odgórnego, administracyjnego powiększania obszarów miast, jest też bardziej akceptowalne społecznie, gdyż nie skutkuje likwidacją już istniejących wspólnot samorządowych, ale nadaje im nowe ramy prawne. Tą drogą próbuje iść Kraków z inicjatywy krakowskich środowisk Platformy Obywatelskiej. Senat

tywnie realizują projekty w ramach Strategii Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych (ZIT), opartych o fundusze europejskie.

Utworzenie związku metropolitalnego, jako kontynuatora prac i zadań stowarzyszenia Metropolia Krakowska, podkreślić miało ważną i pozytywną rolę tej formy współpracy miasta Krakowa z sąsiadującymi gminami, która powinna być kontynuowana w formule o wiele bardziej sta-



Photo by Szymon Fischer on Unsplash

bilnej organizacyjnie i finansowo, na podstawie nowej struktury prawno-organizacyjnej.

Co niezmiernie istotne, projekt Ustawy o Krakowskim Związku Metropolitalnym zawierał rozwiązania legislacyjne nieznanne do tej pory polskiemu systemowi prawnemu. Szczególnie pozytywnie należy w tym kontekście ocenić konstrukcję prawną pozwalającą na przekształcenie obecnie funkcjonującego stowarzyszenia Metropolia Krakowska w związek publiczno-prawny. Przyjęte rozwiązanie zapewnić miało możliwość kontynuowania w nowej formule prawnej rozpoczętych już działań i programów, na co wskazywał również przyjęty w projekcie ustawy katalog zadań obowiązkowych związku, pochodnych w stosunku do obszarów współpracy metropolitalnej ujętych w Strategii Metropolii Krakowskiej 2030 opracowanej przez stowarzyszenie.

Podobny, nowatorski charakter rozwiązań nadano normom określającym ustrój organów związku metropolitalnego. Wprowadzenie jednoosobowego, monokratycznego organu wykonawczego w postaci dyrektora związku, silnie powiązanego z samorządem miasta Krakowa, w założeniu było nacechowane chęcią uniknięcia konfliktów oraz zapewnić miało sprawne zarządzanie jego strukturami i aparatem.

Decyzje organu uchwałodawczego związku – zgromadzenia delegatów – miały zapadać

podwójną większością głosów. Warunek uzyskania podwójnej większości głosów miał zostać spełniony, jeżeli za przyjęciem uchwały zagłosowałaby większość ustawowego składu zgromadzenia reprezentująca gminy posiadające łącznie większość ludności zamieszkałej na obszarze związku.

Sposób podejmowania decyzji kwalifikowaną większością głosów miał zapewnić ochronę działań związku przed partykularyzmami poszczególnych jego członków. Z drugiej strony wprowadzenie wymogu podwójnej większości głosów gwarantować miało szczególną pozycję Krakowowi – stolicy metropolii, bez zgody którego zgromadzenie nie byłoby w stanie przyjąć konkretnych rozstrzygnięć.

System finansowania zadań związku oparto w większym stopniu niż w przypadku funkcjonującej obecnie metropolii Górnośląsko-Zagłębiowskiej na dochodach zewnętrznych, w tym na dodatkowym udziale, jaki miał otrzymać Krakowski Związek Metropolitalny w podatku od osób fizycznych, wynoszącym nie 5, ale 10 proc. Składki samorządów, będących członkami związku, mające swoje źródło w ich dochodach własnych, miały mieć jedynie charakter uzupełniający w stosunku do dochodów własnych samego związku.

Podsumowując, przyjęty przez Senat RP projekt Ustawy o Krakowskim Związku Metropolitalnym

był przykładem indywidualnie przygotowanej normy prawnej do zarządzania konkretnym obszarem metropolitalnym. Charakter rozwiązań przyjętych w projekcie dobrze korespondował ze specyfiką krakowskiego obszaru metropolitalnego, metropolii o charakterze wybitnie monocentrycznym z bardzo silnym ośrodkiem centralnym w postaci miasta Krakowa oraz uwzględniał kilkuletnie doświadczenia stowarzyszenia Metropolia Krakowska w zarządzaniu zadaniami publicznymi.

Jestem przekonany, że obecna kadencja parlamentu przyniesie ze sobą wznowienie prac nad krakowską ustawą metropolitalną, które zakończą się jej przyjęciem. Rozwiązanie takie jest bardzo potrzebne do zagwarantowania ram prawnych dla sprawnego rozwoju Krakowa i sąsiadujących z nim miejscowości. ●



DR DOMINIK JAŚKOWIEC

Politolog, adiunkt w Instytucie Prawa, Ekonomii i Administracji Uniwersytetu KEN w Krakowie, radny Krakowa, współtwórca krakowskiego Budżetu Obywatelskiego, reformy Dzielnic, nowego Statutu Krakowa, inicjator projektowania partycypacyjnego. Działa na rzecz zwiększenia uczestnictwa obywateli w zarządzaniu miastem. Autor publikacji i artykułów naukowych poświęconych partycypacji społecznej i samorządowi terytorialnemu. Pomyślny autor innowacyjnych lokalnych programów działania krakowskiego samorządu m.in.: Programu współpracy miasta Krakowa z Rodzinnymi Ogrodami Działkowymi, Miejskiego programu zalesiania Krakowa „Lasy dla Krakowa”. Autor ponad stu przyjętych przez Radę Miasta Krakowa aktów prawa miejscowego.

DLACZEGO KANDYDUJEMY?

MACIEJ KAMIŃSKI

Problem jednak tkwi w tym, że ta fraternizacja z młodymi jest chwilowa. Najczęściej jest jedynie maską, którą po wyborach się wyrzuca i dla młodych nic się nie zmienia. Jesteśmy pokoleniem, które współdzieli z seniorami konsekwencje niesprawnego samorządu. Niestety we wszystkich jego obszarach.

Nadchodzi czas wyborów samorządowych, a jak zawsze w kampaniach politycy starają się pokazać, jak bardzo są „młodzieżowi”. Jeden zakłada bluzę Championa, inny jeździ na rowerze, a jeszcze inny udaje, że czyta aktualnie modną książkę. Problem jednak tkwi w tym, że ta fraternizacja z młodymi jest chwilowa. Najczęściej jest jedynie maską, którą po wyborach się wyrzuca i dla młodych nic się nie zmienia. Jesteśmy pokoleniem, które współdzieli z seniorami konsekwencje niesprawnego samorządu. Niestety we wszystkich jego obszarach.

Zacznijmy od kwestii mieszkalnictwa. Jesteśmy pierwszym pokoleniem powojennym w Polsce, które od razu zderza się z wysokimi kosztami wynajmu i zakupu mieszkania. Wielu z nas nie stać na wydawanie kilku tysięcy złotych miesięcznie na wynajem w miastach, podczas gdy jednocześnie próbujemy studiować lub rozwijać swoje pasje. W rezultacie większość musi podejmować pierwsze kroki dorosłego życia albo w pokoju z dzieciństwa, albo w ciasnej klitce u pazernego wynajmującego, gdzie jemy, śpimy, uczymy się i myjemy w jednym pomieszczeniu. Tego rodzaju egzystencja to nie życie, lecz ledwo skompletowane przeżycie.

Rozwiązań dla tego problemu jest wiele – od kredytów oprocentowanych na poziomie 0%, poprzez szeroko zakrojone programy budowy mieszkań przez państwo, aż po inicjatywy z zakresu samorządowego budownictwa. Ostatnia

z wymienionych opcji istnieje już od ponad pół wieku. Jednakże gdy dziś podnosi się tę kwestię, często słychać argumenty lokalnych polityków, że to niemożliwe, że są ważniejsze potrzeby. Radni i wóldarze miast nie czują tego problemu, przecież oni mają gdzie mieszkać – ten problem ich nie dotyczy.

Podobnie sprawa wygląda z transportem publicznym, zwłaszcza tym regionalnym. Podzielić się tu własnym doświadczeniem, które zapewne jest znane każdemu młodemu mieszkańcowi Małopolski, czyli dojazdem do mniejszych miejscowości bez własnego samochodu. W mojej klasie maturalnej była dziewczyna z Andrychowa. W ciągu tygodnia nie mieliśmy problemów związanych z tym, żeby spędzać czas razem – chodziliśmy razem do szkoły, ona mieszkała w internacie, a ja w swoim domu rodzinnym. Problem pojawiłby się jednak, gdybyśmy chcieli odwiedzić się nawzajem w weekend. Do jej miejscowości nie było połączenia kolejowego z Krakowem, a nawet nie istniały linie autobusowe. Byliśmy więc skazani na przekonywanie rodziców do długiej podróży samochodem albo na podróż tzw. „busikiem”, czyli starym, zdezelowanym Mercedesem należącym do jednego lokalnego „przedsiębiorcy”, który miał monopol na tę trasę. Najczęściej wybieraliśmy drugą opcję, co wiązało się z niepewnością, czy busik przyjedzie czy nie, a jeśli już przyjechał, to czy nie podniesie ceny. Nawet gdy udało się nam wsiąść, nadal istniał strach, czy kierowca

zawiezie nas tam, gdzie chcemy, czy też będziemy musieli wysiąść dwie miejscowości wcześniej i resztę drogi pokonać pieszo. Takie problemy i obawy oczywiście nie dotyczą ani radnych, ani członków zarządu sejmiku, którzy przecież posiadają własne samochody.

Wykluczenie komunikacyjne to nie tylko problem utrzymywania relacji towarzyskich, ale także przeszkoda w rozwoju, często już na etapie edukacji szkolnej. Teoretycznie wszyscy powinniśmy mieć równy dostęp do nauki i możliwości

z nas, w tym ja, musiała niemal co miesiąc słuchać od kuratora oświaty, którego rola to obrona nas, że jesteśmy dewiantami lub sodomitami. Niektórzy się poddawali, inni stawiali czoła. To ta sama kurator, która wiązała samobójstwa młodych osób LGBT z „walką ideologiczną” lub „seksualizacją dzieci”, a nie z kampaniami nienawiści, w których brała udział. Kampaniami, które sprawiły, że dzieciom trudniej było sobie radzić z brakiem wsparcia psychologicznego w szkołach, bo zawsze były ważniejsze wydatki według obecnych samorządowców. Niektóre z tych złamanych głów już

przeciwną”. Robimy to, bo nie podoba nam się obraz naszej małej ojczyzny. Nie dlatego, że często nie możemy jej zobaczyć z powodu smogu lub braku dostępu do pięknych miejsc, ale dlatego, że obecnie nie czujemy się jej częścią. To jednak możemy zmienić, startując w wyborach samorządowych. Wybory te są wyzwaniem, ale także szansą – finansową i polityczną, ponieważ musimy rywalizować o miejsce na listach z partią establishmentu lub własną rodziną. To ostatnie może być dla nas najtrudniejsze, ponieważ musimy powiedzieć naszym bliskim, że chcemy kandydować, i nie bać się stygmatyzacji czy ośmieszenia, ale mieć powód, dla którego chcemy się zaangażować.

Najprostszym z tych powodów jest to, że nauczyliśmy się przez ostatnie lata, że jeśli sami się sobą nie zajmujemy i nie będziemy głosem samych siebie, nikt nie będzie walczyć o nasze interesy. Jeśli więc Ty, drogi Czytelniku, chciałbyś silnego samorządu, który myśli o przyszłości, ponieważ nie podoba mu się ani przeszłość ani teraźniejszość, to proszę, niezależnie od poglądów politycznych, postaw na młodych. I daj nam szansę wybudzić nasze małe ojczyzny z pełnego koszmarów zimowego snu i wzrastać i działać wraz z nastaniem wiosny. ●

Wiele osób mogłoby zauważyć, że już na samym początku my, młodzi, wybieramy „politykę przeciwną”. Robimy to, bo nie podoba nam się obraz naszej małej ojczyzny

rozwoju, zgodnie z tym, co mówi konstytucja. Niestety tak nie jest. Brak dostępnego transportu publicznego w naszych miejscowościach nie jest tu jednak jedyną przyczyną.

Gdy już poruszamy temat edukacji, szczególnie tej w Małopolsce, nie możemy zapominać o tym, co działo się przez ostatnie 8 lat. Kurator Barbara Nowak regularnie promowała w naszych szkołach kulturę ciemności – od gloryfikacji morderców, takich jak Józef Ogień-Kuraś do szykanowania nauczycieli, porównując ich do faszystów. Młodzież nie miała łatwo w takiej szkole. Część

nigdy się nie podniosła. Część z nas jednak wyprostowała kark i powiedziała „dość”, angażując się w politykę. Dla mnie te wybory dlatego też są jak bumerang tej myśli. Startuję, ponieważ Barbara Nowak też startuje. Jako osoba pamiętająca jej szkołę i niekończące się ataki nienawiści nie mogłem postąpić inaczej, niż zrobić wszystko co w mojej mocy, aby moja ukochana Małopolska nie śniła dalej nienawistnego, patokonserwatywnego koszmaru.

Wiele osób mogłoby zauważyć, że już na samym początku my, młodzi, wybieramy „politykę



MACIEJ KAMIŃSKI

Wiceprzewodniczący Federacji Młodych Socjaldemokratów w Małopolsce (młodzieżówka Nowej Lewicy). Zastępca szefa sztabu KKW Lewica w Małopolsce, a także kandydat na radnego sejmiku z okręgu krakowskiego. Student uniwersytetu w Lejdzie.

CIEMNA STRONA KANDYDATÓW NIEZALEŻNYCH

JAKUB ANDRZEJ LUBER

Wszelkie afery nie ruszają już mieszkańców, którzy wybaczą władzy wszystko, byle nie dopuścić do rządzenia miastem „tego drugiego stronnictwa”. W tak zabetonowanym środowisku, kandydat drugiej strony nie przejdzie.

Uśmiechnięci, pełni energii, z chustą zamiast garnituru z ciasno zawiązanym krawatem. Z pięknymi hasłami na ustach ogłaszają się jako niezależni kandydaci. Przekonują jak bardzo obrzydza ich krajowa polityka i wypowiadają jej przedstawicielom otwartą wojnę „w imię mieszkańców”. Dopiero po dokładnym przyjrzeniu możemy dostrzec jak wiele elementów ich ubioru i stylu bycia jest zwykłą przykrywką, pod którą kryje się stary system, a piękna chusta powiewa, bo przyczepionym do niej sznurkiem zręcznie kotysze lalkarz – stary partyjny wódarz.

Choć zarzekamy się, że nienawidzimy zmian, to jednak często po cichu ich wyczekujemy. Rutyna staje się po dłuższym czasie nudą, od której wygodnie nam jest po prostu uciec. W takiej sytuacji znajdują się mieszkańcy wielu miast, w których lokalni wólarze zapuścili swoje korzenie w każdym aspekcie życia miasta, szczególnie w miejskich spółkach. Jakakolwiek rotacja w tych organach jest fikcją, realizowaną na potrzeby marketingowe i tworzenie ułudy „świeżości”. Ta ułuda w niektórych miejscach przechodzi na zupełnie inny poziom – do wystawienia „niezależnego” kandydata na prezydenta.

Wiele miast w Polsce jest pochłonięte PO-PiS-owską wojną. Jedna strona trzyma twardo całe miasto, a druga występuje w roli opozycji totalnej. W konsekwencji co wybory toczy się między dwoma stronnictwami wojna totalna. Jej wynik rzadko jednak nas zaskakuje. I platforma i PiS

mają w Polsce swoje bastiony. Miasta zdobyte już dawno temu, w których każdy ich kandydat wygrywa wybory w cuglach. Wszelkie afery nie ruszają już mieszkańców, którzy wybaczą władzy wszystko, byle nie dopuścić do rządzenia miastem „tego drugiego stronnictwa”. W tak zabetonowanym środowisku, kandydat drugiej strony nie przejdzie.

Tak powstają więc kandydaci niezależni. Pierwszy ich rodzaj. Przemycony pod płaszczykiem niezależności kandydaci partii, która sama na tyle wielki elektorat negatywny, że nie przebiję betonowego muru. Zamiast walić w niego głową, wrzucają swojego „niezależnego” kandydata w wielkim koniu trojańskim.

Istnieje jednak gorszy rodzaj kandydatów niezależnych. Są to kandydaci niezależni od tych głównych partii politycznych. Ta niezależność jest jednak w rzeczywistości o wiele gorsza, bo w gruncie rzeczy nikt nie jest w pełni niezależny. My po prostu nie wiemy od kogo taki człowiek jest zależny. W takiej sytuacji do gry wchodzi ukryci gracze, rozgrywający szachy polityczne naszym kosztem. Właściciele wielkich fabryk, przedsiębiorstw niekoniecznie lubianych w mieście rzucają tony pieniędzy na człowieka, który ma być „wreszcie kandydatem ludzi”. W ten sposób ci wielcy ludzie mający swoje własne interesy i wielkie środki finansowe na ich realizację znajdują to, czego brakowało im do tej pory – poparcie ludzi. Ci ludzie manipulowani kłamstwami

o pięknej nowej rzeczywistości wolnej od starych koneksji i nepotyzmu idą do wyborów rozentuzjzmowani, żeby wybrać wreszcie rozwiązanie wszystkich ich problemów. Prawdziwy problem mający jednak dopiero na horyzoncie. Wtedy, gdy ten wspaniały, niezależny kandydat po zwycięstwie wyborczym podpisze zgodę na wybudowanie nowej fabryki, spalarni śmieci, czy innej niechcianego wielkiego zakładu.

W zbliżających się wyborach samorządowych kandyduję do Rady Miejskiej w swoim mieście, więc najprościej mi o takich zjawiskach pisać na lokalnych przykładach. W Inowrocławiu niektórzy widzą w tych wyborach szansę na polityczne przesilenie i zmianę władzy. Z tego powodu swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich zgłosiły aż cztery osoby „niezależne”. Jedna

wiceprezydentką, a nawet zasiadała w zarządzie spółek miejskich. Dzisiaj na jej banerach widnieją piękne podpisy „Nie róbmy polityki. Twórzmy miasto”. Liderem jej listy do Rady Miejskiej w moim okręgu jest Przewodniczący Rady, słynący z umiejętności ubezpieczenia wszystkiego, czego ubezpieczenie, nawet w pokręcony i bardzo absurdalny sposób, wydaje się możliwe. Kolejny kandydat na prezydenta kampanię wyborczą prowadzi de facto od sierpnia, pół roku przed rozpoczęciem formalnej kampanii, wydając potężne pieniądze, dosyć wielkie jak na właściciela szkoły jazdy z kilkoma pojazdami.

Może się zdarzyć, że kandydat niezależny będzie naprawdę kandydatem ludzi, bez żadnego cichego wsparcia lokalnych magnatów. Przy takich kandydatach radzę sprawdzać i weryfikować

Może się zdarzyć, że kandydat niezależny będzie naprawdę kandydatem ludzi, bez żadnego cichego wsparcia lokalnych magnatów. Przy takich kandydatach radzę sprawdzać i weryfikować dokładnie ich jedną umiejętność – skuteczność

z nich z ramienia prawa i sprawiedliwości zasiadała kilka kadencji w różnych radach, a przez dwa tygodnie pełniła obowiązki prezydenta mocą rozporządzenia pisowskiego wojewody. Druga niezależna kandydatka przez kilka lat była

dokładnie ich jedną umiejętność – skuteczność. Czy bowiem niezależny kandydat, który trzykrotnie musiał podchodzić do rejestracji listy, żeby w końcu uzyskać uchwałę o przyjęciu rejestracji będzie prezydentem skutecznym? Czy będzie

w stanie prowadzić ciężką i skomplikowaną politykę miasta, wymagającą wnikliwego zapoznania się ze specjalistyczną dokumentacją, gdy nie jest w stanie zarejestrować szybko i skutecznie list wyborczych, a jego pełnomocnikiem jest żona? Taki kandydat nie ma po prostu struktury ludzi odpowiednio przygotowanych do pełnienia w mieście funkcji publicznych. Prawdziwego sztabu ludzi gotowych do przejęcia władzy w mieście nie tylko z dobrodziejstwem inwentarza, ale z całą skrzynią wyzwań stojących nie tylko przed nowym włodarzem, ale przed jego drużyną. Bo nikt nie rządzi samodzielnie.

W najbliższych wyborach każdemu czytelnikowi życzę, aby głosował na ludzi, których zna. Często mieszkamy obok siebie i mamy wspólne zmartwienia i problemy. Wiemy kto i jak sobie z nimi radzi. Wiemy kto naprawdę zna nasze potrzeby, bo te potrzeby są jego własnymi. Wiemy, że pochodzi z naszego miasta i rzeczywiście o to miasto będzie dbał, jeśli nie dla nas, to dla siebie i dla swojej rodziny. Takich kandydatów drodzy czytelnicy Wam życzę. ●



JAKUB ANDRZEJ LUBER

Student Prawa Uniwersytetu Warszawskiego aktywnie biorący udział w studenckim ruchu naukowym, szczególnie w zakresie karnistycznym. Koordynator kujawsko - pomorskiego Pokolenia 2050. Członek fundacji edukacyjnej "Nowy Głos". Wicemistrz Polski na poziomie licealnym i półfinalista Akademickich Mistrzostw Polski Debat Oksfordzkich. Chrześcijański demokrat marzący o Polsce zielonej, obywatelskiej i sprawiedliwej.

IX EUROPEJSKIE KONGRES SAMORZĄDÓW

MICHAŁ RÓŻYCKI

W dniach 4-5 marca 2024, w Hotelu Gołębiowski w Mikołajkach odbyła się IX edycja Europejskiego Kongresu Samorządów. Fundacja Instytut Studiów Wschodnich w formule partnerstwa z Województwem Warmińsko-Mazurskim oraz miastem i gminą Mikołajki, zorganizowali po raz kolejny największą i najważniejszą konferencję samorządową tego typu w Europie Środkowo-Wschodniej, której hasło przewodnie w tym roku brzmiało: „Przyszłość idei decentralizacji w zmieniającym się świecie”

IX Europejski Kongres Samorządów

był spotkaniem liderów samorządów, przedstawicieli elit regionalnych, biznesu, członków administracji państwowej, oraz organizacji pozarządowych i mediów. W tegorocznej edycji Kongresu wzięło udział przeszło 2100 uczestników z Polski i 35 krajów całej Europy, w tym blisko 400 polskich samorządowców. Uczestnicy wydarzenia mieli unikalną możliwość wymiany poglądów, budowy relacji, nawiązywania kontaktów i rozwoju różnych form współpracy, w tym biznesowej, na poziomie regionalnym, jaki i z partnerami z innych krajów.

Program IX Europejskiego Kongresu Samorządów obejmował ponad 250 wydarzeń: bloków programowych, paneli dyskusyjnych, warsztatów, wykładów, prezentacji, gal i koncertów. Debaty Kongresu poruszyły między innymi obszary, takie jak: zarządzanie jednostkami samorządu terytorialnego, mechanizmy rozwoju miast i regionów, potencjał cyfryzacji, finansowanie inwestycji, ochrona środowiska, czy polityka bezpieczeństwa. Program Kongresu był realizowany na siedemnastu ścieżkach tematycznych, takich jak: Polityka i Bezpieczeństwo, Gospodarka i Finanse, Samorząd Przyszłości, Współpraca Międzynarodowa, Zielona Energia, Infrastruktura Regionalna, czy Zdrowie.

W Kongresie wzięło udział wielu przedstawicieli władz szczebla samorządowego i ogólnopolskiego, liderów opinii, wybitnych naukowców

i gości z zagranicy, w tym m.in.: Marcin Kuchciński – Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego, Marek Woźniak – Marszałek Województwa Wielkopolskiego, Krzysztof Gawkowski – Wicepremier Minister Cyfryzacji, Krzysztof Bosak – Wicemarszałek Sejmu RP, Krzysztof Hetman – Minister Rozwoju i Technologii, Piotr Wachowiak – Rektor SGH, czy Rajmund Andrzejczak – były Szef Sztabu Generalnego WP.

Jednym z kluczowych wydarzeń podczas IX Europejskiego Kongresu Samorządów była sesja plenarna pod tytułem „Przyszłość idei decentralizacji w zmieniającym się świecie”. Moderatorem sesji był Willie Sullivan – Starszy Dyrektor, Electoral Reform Society z Wielkiej Brytanii. W roli panelistów wystąpili: Marcin Kuchciński – Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego, Jerzy Buzek – Poseł do Parlamentu Europejskiego, Francisco Javier Ayala Ortega – Burmistrz Fuenlabrada, Hiszpania, Pekka Komu – Przewodniczący Zarządu Regionu Päijät-Häme, LADEC, Finlandia, Krzysztof Gawkowski – Wicepremier, Minister Cyfryzacji.

W trakcie sesji paneliści podkreślili, że demokracja powinna być dobrem, z którego mogą korzystać wszyscy, a nie tylko wybrana grupa. W dyskusji stwierdzono, że decentralizacja to bardzo dobra idea oddania części władzy w ręce samorządów. Zdaniem uczestników dyskusji w obliczu współczesnych wyzwań demokracja jest zagrożona, dlatego tak ważna staje się rola

systemu zdecentralizowanego. W trakcie sesji Jerzy Buzek przypomniał o niezwykle istotnym znaczeniu decentralizacji zwłaszcza w kontekście niekorzystnych dla Europy rosyjskich działań. Zdaniem byłego Premiera „pomocniczość to sytuacja, gdzie władza na wyższym poziomie, na przykład Unia Europejska pomaga państwom członkowskim a państwo pomaga samorządom” Paneliści zwrócili także uwagę na kwestie migracji w kształtowaniu jednostek samorządu terytorialnego i lokalnych społeczności, a także odnieśli się do kwestii związanych z rozwojem cyfryzacji i informacji.

Pierwszy dzień IX Europejskiego Kongresu Samorządów w Mikołajkach zamknęła Gala, którą poprowadzili redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”, Bogusław Chrabota i Malwina Żuchniewicz. Podczas wieczoru wręczono sześć nagród Samorządowca Dwudziestopięciolecia w Kategoriach: Sołtys, Wójt, Burmistrz, Starosta, Prezydent, Marszałek, a także trzy wyróżnienia za całokształt zasług i osiągnięć na rzecz Samorządu Terytorialnego. Nagrody wyróżnionym wręczali kolejno: Krzysztof Bosak – Wicemarszałek Sejmu, Jacek Protas – Sekretarz Stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej oraz Krzysztof Gawkowski – Wicepremier i Minister Cyfryzacji.

Nagrodę Samorządowca Dwudziestopięciolecia w kategorii Sołtys otrzymał Ireneusz Nie-wiarowski – Twórca i Prezes Krajowego Stowarzyszenia Sołtysów, nagrodę Samorządowca

Dwudziestopięciolecia w kategorii Wójt otrzymał Krzysztof Harmaciński – Wójt Gminy Łta-wa, nagrodę Samorządowca Dwudziestopięciolecia w kategorii Burmistrz zdobył Stanisław Bodys – Burmistrz Miasta Rejowiec Fabryczny, nagrodę Samorządowca Dwudziestopięciolecia w kategorii Starosta otrzymał Andrzej Płonka – Starosta Bielski, nagrodę Samorządowca Dwudziestopięciolecia w kategorii Prezydent otrzymał Wojciech Szczurek – Prezydent Gdyni, nagrodę Samorządowca Dwudziestopięciolecia w kategorii Marszałek otrzymał Marek Woźniak – Marszałek Województwa Wielkopolskiego.

Podczas Gali Krzysztof Hetman – Minister Rozwoju i Technologii wręczył wyróżnienia za całokształt zasług i osiągnięć na rzecz samorządu terytorialnego Kazimierzowi Barczykowi – współtwórcy Federacji Regionalnych Związków Gmin i Powiatów RP, prof. Jerzemu Stępniewi – współtwórcy reformy Samorządu Terytorialnego w Polsce, w którego imieniu nagrodę odebrał Jan Król. Wyróżnienie otrzymał również prof. Jerzy Buzek – współtwórca reformy Samorządu Terytorialnego w Polsce. „To była rzesza niesamowitych ludzi, którzy czuli wielką wspólnotę w reformowaniu kraju. Warto przypomnieć, że samorząd to nie tylko dobre gospodarowanie, ale szczególne miejsce do budowania wartości. Taką wartością jest racja stanu” – powiedział prof. Jerzy Buzek odbierając wyróżnienie i podsumowując czasy reformy terytorialnej.



Fot. materiały IX Europejskiego Kongresu Samorządów

Drugi dzień IX Europejskiego Kongresu Samorządów w Mikołajkach zakończył się Galą, którą poprowadzili redaktor Tomasz Sanpruch i Malwina Żuchniewicz. W trakcie Gali wręczono kilka znaczących wyróżnień. Nagrody Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej przyznano gminom zaangażowanym w ochronę pamięci historycznej. Nagrody wręczał dyrektor Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Adam Siwek. Wyróżnienie to otrzymały: Urząd Gminy Wyry – nagrodę odebrała Joanna Pasierbek-Konieczny, przewodnicząca

Rady Gminy Wyry, oraz Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego w Rzeszowie - w którego imieniu nagrodę odebrał Piotr Pilch, wicemarszałek Województwa Podkarpackiego. Przyznana została także Nagroda Europejskiego Kongresu Samorządów, którą wręczał Zygmunt Berdychowski – Przewodniczący Rady Programowej Europejskiego Kongresu Samorządów. Wyróżnienie to otrzymali: dr Boglarka Ban-Gal oraz Pekka Komu - Przewodniczący Zarządu Regionu Päijät-Häme.



Gale IX Europejskiego Kongresu Samorządów w Mikołajkach uświetniły koncerty: Katarzyny Żak, która zaśpiewała utwory z płyty Miłosna Osiecka, Anny Grzelak, Sąddeckiej Orkiestry Kameralnej wraz z zespołem SOK & Tango Attack pod dyr. Leszka Mieczkowskiego oraz Orkiestry

Akademickiej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie pod batutą Rafała Krauzego. IX Europejski Kongres Samorządów był miejscem nie tylko debat o tematyce społeczno-gospodarczej, ale obfitował także w bogaty program kulturalny obejmujący koncerty, pokazy filmów, czy

spotkania z autorami najciekawszych premier książkowych roku. W tym roku w Mikołajkach odbyły się spotkania poświęcone m.in. takim tytułom, jak: „Chiński obwarzonek. Od Tajwanu po Tybet, czyli jak Chiny tworzą imperium” – spotkanie autorskie z Prof. Michałem Lubiną, „Historia polityczna Polski 1989–2023” – spotkanie autorskie z Prof. Antonim Dudkiem, czy „Potrzeba zmian w samorządzie terytorialnym” – spotkanie autorskie z dr. Cezarym Trutkowskim.

Uczestnicy Kongresu mogli także podwyższyć swoje umiejętności i kompetencje biorąc udział w warsztatach dotyczących różnych obszarów, w tym np.: „Jak zwiększyć szansę na elekcję? - determinanty wyborcze”, „Jak opracować dobrą strategię rozwoju gminy?”, czy „Jak przekonać nieprzekonywalnych – czyli jak komunikować strategiczne inwestycje?”

Organizatorem Europejskiego Kongresu Samorządów jest Fundacja Instytut Studiów Wschodnich, która prowadzi działalność na rzecz promowania dialogu i współpracy pomiędzy państwami Europy Środkowo-Wschodniej. Najważniejszym wydarzeniem organizowanym

przez Fundację jest Forum Ekonomiczne w Karpaczu – konferencja, która jest jednym z największych i najważniejszych wydarzeń gospodarczo-politycznych w tej części Europy.

Podczas tegorocznego Kongresu cztery spotkania poprowadziła redaktor prowadząca miesięcznik Liberté!, dr Magdalena M. Baran. Wśród nich znalazło się spotkanie z prof. Jerzym Buzkiem, z którym w ramach cyklu „Historie sukcesu” rozmawiała o podmiotowości samorządów oraz odzyskiwania państwa dla obywateli. Kolejnym był panel „Co dziś łączy Polaków?”, gdzie wśród panelistów znaleźli się prof. Antoni Dudek, prof. Mikołaj Cześnik, prof. Marcin Wojciech Solarz i prof. Witold Modzelewski. Na koniec – w ramach rozmów wokół książki Inkubatora Umowy Społecznej *Umówmy się na Polskę*, o nowym kształcie umowy i decentralizacji rozmawiała z prof. Arkadiuszem Radwanem, prof. Antonim Dudkiem i Leszkiem Stypułkowskim. Ostatnim ze spotkań prowadzonych przez Panią dr była rozmowa z red. Barbarą Włodarczyk, dotycząca dzisiejszej Rosji.



MICHAŁ RÓŻYCKI

Dyrektor Biura Prasowego Instytutu Studiów Wschodnich - organizatora Europejskiego Kongresu Samorządów oraz Forum Ekonomicznego w Karpaczu. Odpowiedzialny za całość komunikacji obu wydarzeń a także za program spotkań autorskich, eksperckich i wydarzeń specjalnych. Z wykształcenia politolog i PR-owiec, z zamiłowania propagator idei, które ma nadzieję, przyczynią się do rozwoju Polski.

WIEM, ŻE NIC NIE WIEM, CZYLI DLACZEGO WARTO ZAPROSIĆ DO ZARZĄDZANIA FIRMĄ PRAWNICZĄ NIE-PRAWNICZKĘ?

AGATA KOWALSKA, ANNA PIETRUSZKA

W dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości ekspercka wiedza nie wystarczy do zbudowania dobrze działającej nowoczesnej firmy.

Eksperti w swoich dziedzinach, tacy jak prawnicy, architekci, księgowi, są zazwyczaj wysoce wykwalifikowani w organizowaniu i analizowaniu informacji ze swojej dziedziny wiedzy. Są w stanie rozpoznać niuanse, które umykają mniej doświadczonym specjalistom oraz łatwo adaptować informacje do nowych kontekstów. Specjalistyczna wiedza jednak nie zawsze (a właściwie zaryzykuję stwierdzenie, że prawie nigdy) równa się skuteczności w zarządzaniu czy rozwijaniu firmy. W dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości ekspercka wiedza nie wystarczy do zbudowania dobrze działającej nowoczesnej firmy. Co więcej, w moim odczuciu, nie wystarczy nawet spełniać definicji specjalisty „T-shaped” (czy nawet „M-shaped”, gdzie wg najnowszych standardów rzeczywiste kompetencje powinniśmy uzupełniać sztuczną inteligencją, uzyskując multidyscyplinarne umiejętności). Bo to, że jesteś osobą przedsiębiorczą, innowacyjną, elastyczną, komunikatywną, umiejąca się uczyć czy dostosowywać się do różnych scenariuszy, nie da gwarancji, że zbudujesz jednorożca. Dlaczego więc nawet najlepsi eksperci potrzebują menadżera do rozwoju swojej firmy?

Eksperti są najczęściej skoncentrowani na swojej specjalistycznej wiedzy do tego stopnia, że mogą przegapić szerszy kontekst biznesowy i strategiczny, w którym działa firma. Menadżer z kolei może pomóc w zrozumieniu, jak specjalistyczna wiedza wpasowuje się w ogólną strategię firmy. Na przykład, prawnik

specjalizujący się w prawie patentowym może skupić się na ochronie własności intelektualnej firmy, ale menadżer może zidentyfikować, jak te patenty mogą być wykorzystane strategicznie do pozyskiwania nowych klientów lub wejścia na nowe rynki.

Menadżerowie odgrywają kluczową rolę w zapewnieniu, że operacje firmy przebiegają płynnie. Mogą na przykład wdrażać systemy zarządzania projektami, które pomagają w monitorowaniu postępów i terminów, co jest szczególnie ważne w branżach takich jak prawo. Dodatkowo, menadżer może zarządzać budżetem projektu, upewniając się, że zasoby są wykorzystywane efektywnie, co pozwala ekspertom, takim jak prawnicy, skupić się na swoich kluczowych kompetencjach.

To menadżer może pomóc w zrozumieniu i adaptacji do zmieniającego się otoczenia biznesowego, a także w identyfikacji nowych możliwości i zagrożeń. Nowoczesny lider musi być wyposażony nie tylko w tradycyjne umiejętności zarządcze, ale także w zdolność do efektywnego reagowania na niezaplanowane sytuacje. W dzisiejszych dynamicznych czasach, gdzie zmienność i niepewność stały się normą, zdolność do elastycznego i kreatywnego podejścia do wyzwań jest kluczowa.

Kolejnym ważnym aspektem jest komunikacja i budowanie relacji. Prawnik może być wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie, ale bez

skutecznej komunikacji i budowania relacji z pracownikami i innymi interesariuszami trudno mu będzie rozwijać firmę. Menadżerowie posiadają umiejętności, które pozwalają na budowanie silnych relacji i efektywne komunikowanie wizji firmy. Ci z doświadczeniem w nowoczesnym przywództwie posiadają umiejętność wyczuwania subtelnych dynamik

Nowoczesny lider musi być wyposażony nie tylko w tradycyjne umiejętności zarządcze, ale także w zdolność do efektywnego reagowania na niezaplanowane sytuacje

w zespole i dostosowywania się do nich, co jest nieocenione w zarządzaniu projektami i ludźmi. Przykładem może być sytuacja, gdy menadżer dostrzega napięcia między członkami zespołu na wczesnym etapie i interweniuje, aby zapobiec konfliktom, które mogłyby zaszkodzić projektowi. Dzięki umiejętnościom komunikacyjnym i empatii, menadżer jest w stanie złagodzić napięcia i promować środowisko współpracy, co z kolei prowadzi do wyższej produktywności i lepszych wyników.

Prawnicy podczas wielu lat studiów, a następnie aplikacji i nabywania praktyki, nie są uczeni tych umiejętności. Oczywiście, mogą je nabyć na kolejnych kursach czy szkoleniach. Mogą

zatrudnić świetnego coacha, czy znaleźć osobę, która będzie dla nich biznesowym mentorem. I wiele ich nauczy. W teorii. Nadal jednak, czym innym jest prowadzenie jedno- czy nawet kilkuosobowej kancelarii, a czym innym rozwijanie nowoczesnej firmy prawniczej. Co zatem może stanowić rzeczywisty problem? Wielość ról. Tych oczekiwanych i odgrywa-

nych. Konieczność łączenia bycia ekspertem na pełny etat (bo tego jednak oczekują klienci) z byciem menadżerem na – niespodzianka – pełny etat. Multitasking? Już był i wiemy, jak jest aktualnie oceniany i jakie szkody i spustoszenie robi naszym mózgom.

Oczywiście, nikt nie wymaga od właściciela, aby oddał stery swojej firmy innej osobie i „tylko” wykonywał swoją ekspercką pracę. Mówię tutaj o współprowadzeniu firmy, o tym, że każdy powinien skoncentrować się na tym, co wychodzi mu najlepiej. I tak, jak właściciel może wskazać kierunek, wytyczyć drogę dla swojej organizacji (np. budowanie specjalizacji, ekspansja międzynarodowa), to rolę menadżera

jest pomóc tę wizję zrealizować, budując strategię i realizując ją. Dla przykładu, w firmie zajmującej się rozrywką sportową menadżer może zauważyć, że letnie obozy sportowe stanowią doskonałą okazję do promocji firmy i budowania długoterminowych relacji z klientami. Menadżer może zatem zainicjować i nadzorować strategię marketingowe, które wykorzystują te obozy do zwiększenia widoczności firmy.

Aby ta synergia się udała, ważne jest, aby menadżer posiadał głębokie zrozumienie wartości i celów właściciela i umiał je przekazać zespołowi. To pozwala na szybkie i skuteczne przystosowanie się do zmieniających się okoliczności, zachowując jednocześnie spójność z kluczowymi zasadami. Przykładem może być sytuacja, w której lider musi zmienić kierunek projektu w odpowiedzi na nowe informacje rynkowe. Posiadanie jasno określonych wartości pomaga w szybkim podejmowaniu decyzji, które są spójne z długoterminową wizją organizacji. Nowoczesny menadżer to osoba, która potrafi zjednoczyć zespół wokół wspólnych wartości i celów, efektywnie komunikować, zarządzać emocjami i zachować elastyczność w obliczu nieustannie zmieniającego się środowiska. To połączenie umiejętności pozwala nie tylko na skuteczne reagowanie na bieżące wyzwania, ale także na przewidywanie i zapobieganie przyszłym kryzysom, co jest niezbędne do osiągnięcia długoterminowego sukcesu.



Przywództwo w czasie rzeczywistym to wyzwanie, które wymaga od właścicieli firm (i menadżerów) nie tylko zarządzania bieżącymi operacjami, ale także szybkiego reagowania na nieprzewidziane zmiany i wyzwania. Dlaczego jednak jest to tak trudne? Odpowiedź leży w czterech głównych przeszkodach: braku alternatyw, braku nadziei, braku czasu oraz braku poczucia potrzeby przywództwa.

Pierwsza przeszkoda, brak alternatyw, wynika z naszych nawyków, norm społecznych i innych ograniczeń, które skutecznie zwężają nasze pole widzenia i uniemożliwiają nam dostrzeżenie innych możliwości działania. Zbyt często ludzie przyjmują podejście „po prostu postaram

się bardziej”, zamiast poszukiwać nowych, kreatywnych rozwiązań problemów.

Druga przeszkoda, brak nadziei, manifestuje się w uczuciu paraliżu w obliczu wyzwań, które wydają się niemożliwe do pokonania. Taki defetyzm sprawia, że trudno jest podejmować działania z wizją i odwagą, co jest kluczowe w skutecznym przywództwie.

Brak czasu to trzecia przeszkoda, z którą liderzy muszą się mierzyć. Wysokie wymagania i ograniczenia czasowe często skazują ich na tryb reaktywny, co ogranicza możliwości na przemyślane, proaktywne działania. Przetłumaczenie tego wymaga zaufania do innych osób, identyfikacji i eliminacji nieefektywności organizacyjnych oraz konfrontacji z konfliktami, zamiast ich unikania.

Przywództwo w czasie rzeczywistym to wyzwanie, które wymaga od właścicieli firm (i menadżerów) nie tylko zarządzania bieżącymi operacjami, ale także szybkiego reagowania na nieprzewidziane zmiany i wyzwania

Ostatnia przeszkoda, brak poczucia potrzeby przywództwa, często występuje w sytuacjach, gdzie zadania wydają się nie wymagać in-

terakcji społecznych lub kiedy status quo jest zadowalający. W takich przypadkach ważne jest, aby właściciele potrafili rozszerzyć swoją wizję i zrozumieć, że nawet w sytuacjach wydających się nie wymagać przywództwa istnieją sposoby na ulepszenie i inspirowanie innych.

Truizmem jest stwierdzenie, że eksperci i ich wiedza zawsze będą potrzebni, aby świat mógł się rozwijać. To menedżerowie odgrywają jednak kluczową rolę w kierowaniu ich firmami do sukcesu dzięki swojej zdolności do zarządzania zespołami, strategicznego planowania, budowania relacji i zarządzania operacjami. Dlatego nawet najlepsi eksperci w swoich dziedzinach potrzebują menadżera, aby ich firma mogła się rozwijać i realizować zamierzone cele. ●



AGATA KOWALSKA

Radca prawny, partner zarządzający w Chabasiewicz Kowalska i Partnerzy (www.ck-legal.pl). Specjalizuje się w transakcjach fuzji i przejęć, prawie spółek oraz w doradztwie związanym z ochroną praw własności intelektualnej. W procesach inwestycyjnych współpracuje zarówno z funduszami VC/PE, ASI, inwestorami branżowymi, jak i spółkami oraz ich udziałowcami. Zdobyła doświadczenie w transakcjach dotyczących podmiotów z różnych branż, głównie nowych technologii (fintech, biotech, gaming). Zarządza projektami fuzji i przejęć na rynkach polskim i międzynarodowym (Europa, Azja, Ameryka Północna). Jest ekspertem legislacyjnym Izby Gospodarki Elektronicznej. Działa w ruchu ekonomii wartości Open Eyes Economy. Zasiada w radach nadzorczych spółek Salesmanago i Summa Linguae Technologies. Jest arbitrem stałym w Izbie ds. Rozwiązywania Sporów Sportowych przy PZPN. Była Wiceprezesem Zarządu, a także Przewodniczącą Rady Nadzorczej Lechii Gdańsk S.A. Jest współzałożycielką i Wiceprezesem Stowarzyszenia Piękne Anioły, które remontuje pokoje najuboższych dzieci w Polsce.



ANNA PIETRUSZKA

Technologiczna aktywistka, która swoimi działaniami dąży do ustanowienia naszego dobrobytu oraz ochrony zasobów naturalnych priorytetem, który powinien stać się częścią rozważań nad dalszym kierunkiem rozwoju technologii komunikacyjno-informacyjnych. Doświadczenie zdobywała w agencjach komunikacji i doradztwa biznesowego. Współpracowała m.in. z UNESCO, Tate exChange, El Pais. W ramach Instytutu Ekologii Cyfrowej, opracowuje programy edukacyjne, które zwiększają świadomość fizycznego wymiaru Internetu oraz wprowadza dobre praktyki i etyczne narzędzia, które umożliwiają osiągnięcie cyfrowego dobrostanu i suwerenności. Pomimo swojego krytycznego spojrzenia na obecny kierunek rozwoju Internetu pozostaje raczej technologiczną optymistką

JOHN STUART MILL NA DRODZE DO RÓWNOUPRAWNIENIA Kobiet

SYLWIA DZIEMIŃSKA

Poddaństwo kobiet i myśl Milla, rodząca się we współpracy z Harriet Taylor, były kamieniem milowym na drodze do tego, co kobiety mają dziś: prawa wyborcze, równouprawnienie zagwarantowane w wielu konstytucjach, liczne zapisy o swobodnym dostępie do stanowisk i urzędów.

John Stuart Mill to postać, którą niewielu ludziom trzeba przedstawiać. Filozof, ekonomista, znany także jako ojciec liberalizmu i... feministka. Współpracował z sufrażystkami i postulował przyznanie kobietom praw wyborczych. Choć spotkał się z miazdzącym sprzeciwem, dawał ważny impuls do walki o prawa kobiet. Na jego myśl w tym obszarze duży wpływ miała najpierw współpracowniczka, później żona – Harriet Taylor. Właśnie ta kobieta zwróciła uwagę filozofa na sytuację w małżeństwie i poddańczy status swej płci. W 1832 r. wydali razem *Eseje o małżeństwie i rozwodzie*. Żona Milla miała wpływ na kolejne dzieła filozofa, czego dowodem jest choćby *Poddaństwo kobiet* wydane w 1869 roku, już po jej śmierci. Wiele z zapisów tam umieszczonych już się przedawniło, a część była kontrowersyjna jeszcze dla współczesnych Millowi feministek.

Nie ma jednak wątpliwości, że *Poddaństwo kobiet* powinno znaleźć się na liście lektur każdego, kto jest zainteresowany prawami kobiet i ich historią, , choćby jako istotny zapis drogi, jaką przeszła myśl feministyczna od XIX wieku po współczesne nam czasy i jako wyraz nadziei, że zmiany – nawet te, które dziś mogą jawić się jako rewolucyjne – mają szansę dokonać się w warunkach współpracy i wymiany myśli.

Czy będzie to proste? Nie, ale nigdy nie było. Wielkie zmiany, wielkie myśli i wielkie dokonania nie powstają jednak z prostych decyzji. Warto też dodać, że te wielkie rzeczy nie dzieją się

jedynie pod wpływem słów lub piór wielkich liderów. Aby je zrealizować, potrzeba setek, tysięcy nawet małych ludzi i ich niewielkich działań. Mill zdawał się bardzo dobrze o tym wiedzieć i choć droga, na której wraz z Harriet Taylor byli ważnymi przechodniami, jeszcze nie dobiegła końca, to warto się jej przyjrzeć.

Prawo silniejszego

Któż obecnie poważiłby się rościć sobie prawo do panowania nad inną osobą bez narażania się na śmieszność lub po prostu skutki prawne, oskarżenie o przemoc czy mobbing? Zdawałoby się, że nikt. A jednak... Za czasów Milla zdarzały się takie przypadki, zdarzają się i dziś.

Mill porównuje władzę mężczyzn nad kobietami do władzy despotycznej. *Jestem silniejszy niż rasa (naród), który udało mi się podbić, należy mi się więc władza*. Obecnie w przestrzeni publicznej zwolennicy demokracji i egalitaryzmu nie sięgają po tego typu retorykę, wręcz przeciwnie – pakt, konwencje i dokumenty mające na celu zachowanie pokoju i ochronę praw wszystkich ludzi (bez względu na ich status, rasę, wyznanie, płeć, pochodzenie etniczne czy siłę) przed przemocą i wszelkimi prześladowaniami mają coraz więcej sygnatariuszy.

Z drugiej strony konflikty zbrojne, napaści i doniesienia o poczynaniach despotycznych władców przypominają nieustannie, że żadne prawa, żadna wolność w jakimkolwiek jej rozumieniu nie

są dane na zawsze. Prawa i ideały to coś, czego należy strzec. Prędzej czy później na horyzoncie może się pojawić ktoś, kogo może zainteresować twoja autonomia.

Mill zauważa, że wydarzenia ze sceny politycznej kształtowane są przez jednostki, które wiele wyniosły z domu, zostały ukształtowane w taki, a nie

do zastąpienia środkami publicznymi bezprawnej walki fizycznej”².

Autor *Poddaństwa kobiet* zauważa, że historia daje nam smutną lekcję, w której tłumaczy, że własność, szczęście, a w końcu życie pewnych klas ludzkich było o tyle szanowane, o ile umiały same ich bronić. Zaczęło się to w końcu zmie-

Kobiety od stuleci były wychowywane i przysposabiane do roli matek i żon. Hodowane tak, by podobały się mężom i by ku mężczyznom kierowały swe pragnienia, a ku mężom i dzieciom – uczucia

inny sposób. To prowadzi go do rozważań o sytuacji kobiet. W *Poddaństwie kobiet* jeden z liderów myśli liberalnej poszukuje odpowiedzi na pytanie o źródło porządku, w którym to mężczyzna jest władcą, a kobieta, jak się okaże, niewolnicą. Mill dostrzega, że „powstał on w zaraniu bytu społecznego, gdy każda kobieta znalazła się niewolnicą mężczyzny (dzięki bądź to wartości, jaką do niej mężczyźni przywiązywali, bądź mniejszej sile mięśni)”¹. I tak, przez lata „to, co było w początkach wynikiem brutalnej siły, zamieniają one [ustawy i systemy polityczne – przyp. red.] w prawo zapewniając mu sankcję społeczeństwa i dążąc

niać, od postaw Żydów i stoików poczynając, poprzez podniosłe deklaracje i kruche obietnice, na aktach prawnych skończywszy.

Można by się zastanawiać, jak to się stało, że pewne instytucje oparte na przemocy trwały tak długo? A dalej, dlaczego wciąż w niektórych miejscach się odradzają lub odrodzić się próbują? Mill twierdzi, że „przechowały się do epoki tak rozwiniętej cywilizacji, dlatego iż uznano z całą słusznością, że odpowiadały najlepiej naturze ludzkiej i służyły ogólnemu dobru”³.



Tak... jakże często spotykany argument. Nie wiesz, jak coś wyjaśnić? Proste, powiedz, że tak natura każe i było tak od zawsze. To motyw dobry do zastosowania zarówno w odniesieniu do porządku na świecie (jeden z ulubionych oręży populistów), jak i w domu. Ba, nawet mistrz Arystoteles twierdził, iż naturalne jest to, że istnieją rodzaje ludzi stworzonych do wolności (np. Grecy), jak i do niewoli (barbarzyńskie plemiona Azji i Tracji).

Mill zauważając, jak uczucia są zależne od zwyczaju, stwierdził, że „poddanie kobiety

⁴ Ibidem, s.296.

mężczyźnie jest powszechnym zwyczajem, dlatego wystąpienie z granic tego zwyczaju zdaje się być przeciwnym naturze”⁴. Ale któż ma prawo rościć sobie prawo do wysuwania twierdzeń o tym, jakie kobiety są w naturze i jakie są ich pragnienia?

Natura kobiet

Co więc należy do natury ludzkiej? Skoro tematem niniejszych rozważań są głównie kobiety, na nich zostanie zogniskowana poniższa analiza. Stereotypy, ogólne przekonania i sławetny „chłopski rozum” umiejscawiają kobietę w domu,

¹ J.S. Mill, O rządzie reprezentatywnym. *Poddaństwo kobiet*, Kraków: Wydawnictwo Znak 1995, s. 288.

² Ibidem, s. 289.

³ Ibidem, s. 290.

gdzie powinna oddawać się kierowaniu gospodarstwem domowym i wychowaniu dzieci. Mill nie pozostaje tu ślepy na to, co rzeczywiście tworzy tę „naturę”. Dostrzega, że „to, co nazywają dzisiaj naturą kobiety, jest wynikiem ścieśnienia przymusowego w jednym kierunku i podniecenia wbrew naturze – w drugim. (...) Co się tyczy kobiet, stosowano do nich cieplarnianą hodowlę, rozwijając te zdolności, które mogły ich panom zapewnić korzyść i przyjemność”⁵.

Kobiety od stuleci były wychowywane i przysposabiane do roli matek i żon. Hodowane tak, by podobały się mężom i by ku mężczyznom kierowały swe pragnienia, a ku mężom i dzieciom – uczucia. Nie było tu miejsca na prawa wyborcze, posiadanie własnego majątku czy prawo do sprzeciwu lub natychmiastowego odejścia w przypadku przemocy, także seksualnej.

Mill zauważa, że „wszystkie kobiety od dzieciństwa wychowane są w przekonaniu, że ideałem ich charakteru jest zupełne przeciwieństwo z charakterem mężczyzny; (...) Mówią nam w imię moralności, że kobieta powinna żyć dla drugich, a w imię uczucia, że jej natura tego potrzebuje; znaczy to, że powinna zupełnie zaprzeczyć się upodobań własnych, a żyć dozwolonym jej jedynie uczuciem dla męża i dzieci, które stanowią pomiędzy nią a złączonym z nią mężczyzną związek nowy i nierozdzielny (...) trzeba by

⁵ Ibidem, s. 305.

⁶ Ibidem, s. 298-299.

gradu, ażeby chęć podobania się mężczyźnie nie stała się w jej wychowaniu i urobieniu charakteru gwiazdą biegunową”⁶.

Refleksje przedstawione przez Milla nie są oderwane od rzeczywistości. Osoby o zainteresowaniach pedagogicznych i/lub filozoficznych mogą być zaznajomione z lekturą filozofa, który swe myśli formułował niecałe stulecie przed autorem *Poddaństwa kobiet*. Mowa o XVIII-wiecznym myślicielu, Janie Jakubie Rousseau, znanym między innymi ze swoich poglądów na wychowanie. Ich zapis można znaleźć w nie za bardzo obszernym dziele, *Emil, czyli o wychowaniu*. Dzieło to składa się z pięciu ksiąg. Pierwsze cztery zawierają dokładny opis sposobu wychowania dziecka. Ma obowiązkowo być karmione przez matkę (nie mamkę), rozwijane etapami wskazanymi przez genialnego pedagoga. Wychowawcą winien być mężczyzna, na czas wychowania zaleca się mieszkać na wsi, by być blisko natury. Nie od razu przechodzi się do nauki z podręczników (według Rousseau ograniczają one zdolność samodzielnego myślenia). Najpierw trzeba zadbać o siłę, zręczność i praktyczne myślenie (wychowanie negatywne), później następują refleksje nad otaczającym światem, nauka zawodu i (nie wcześniej niż w 15. roku życia) kształtowanie sumienia, świadomy wybór wyznania (najlepiej sugerowanej przez autora religii naturalnej, bliskiej religiom wschodnim).

Cóż znajduje się w piątej księdze? Informacje o wychowaniu dziewczynek. Nie będzie pewnie zaskoczeniem, że ich kształcenie odbywa się w formie przysposabiania do pełnienia roli żony i matki. Nie rozwija się w nich innych talentów ani umiejętności, które mogłyby zająć odwrotną uwagę od troski o męża i jego szczęście oraz rodzenia i wychowania dzieci. Bohaterka książki, Zofia, od urodzenia wychowywana jest po to, by poślubić Emila. Po romantycznym spotkaniu z już wychowanym chłopakiem nie od razu jednak się pobierają. Emil

zaoferowania światu i marzy im się „stary, dobry, naturalny porządek”.

Wielu mężczyznom taki stan rzeczy odpowiadał. Mill zauważył, że „przedstawili im [kobietom – przy. red.] słabość, wyrzeczenie się własnej woli na korzyść mężczyzny jako kwintesencję powabów kobiecych”⁸.

Delikatność, urok, bycie czarującą, piękną i idealnie bierną – te powaby przez lata opiewała popkultura, pokazując kobiety jako wdzięczne

Nie było tu miejsca na prawa wyborcze, posiadanie własnego majątku czy prawo do sprzeciwu lub natychmiastowego odejścia w przypadku przemocy, także seksualnej

wyjeżdża w zagraniczną podróż, by poznać różne modele rządów i upewnić się o stałości swych uczuć. Zofia w tym czasie... czeka na ukochanego⁷.

Takie refleksje i nadzieje pobrzmiwają do dziś (choć już na szczęście nie tak głośno lub może są bardziej kontrowane) w ustach „zwolenników tradycji”, na wielu ambonach i w sercach osób, które prócz płci mogą nie mieć wiele do

damy w pięknych sukniach a mężczyzn jako walecznych rycerzy, dążących do tego, aby je znaleźć, uratować, najlepiej ze szponów smoka lub czarownicy (zazwyczaj brzydkiej, złej, wkurzonej singielki) i poślubić. Takie historie zawarte są we wczesnym Disneyu. Sporo bajek, w tym *Królowna Śnieżka*, *Śpiąca Królowna*, *Kopciuszek* czy *Mała Syrenka* opierały się na szukaniu księcia i marzeniu o nim. Najmniej czasu na to miała Aurora (*Śpiąca*

⁷ Vide Rousseau J. J., *Emil, czyli o wychowaniu*, Wrocław: Zakład Imienia Ossolińskich –Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk 1955.

⁸ S. Mill, op. cit., s. 299.

Królewna), która większość filmu o sobie po prostu przespała, czekając aż Księżę zbudzi ją pocałunkiem. Później te wzorce były stopniowo przełamywane (Pocahontas, Mulan, Merida, Vaiana czy Elsa i Anna). Tyle z bajkowego *mainstreamu*. Szkoda, że nie przebiły się do niego z taką siłą baśnie z różnych części świata, jak choćby *Lady Ragnell*. Nie jest to nowa opowieść pisana pod „wywrotową feministyczną retorykę”. Wywodzi się bowiem z folkloru brytyjskiego (blisko naszego polskiego podwórka, literalnie z podwórka Milla). Powstała w XIV wieku i opowiada o średniowiecznej czarownicy, która pomaga rycerzowi, złapanemu w pułapkę czarnoksiężnika, odpowiedzieć na najtrudniejsze pytanie na świecie: Czego pragną

Moc wolnego wyboru w małżeństwie

Jeśli o małżeństwie mowa, wiadomo, że kobiety, o których wspominał Mill, pisząc *Poddaństwo kobiet*, w większości nie miały takiego szczęścia jak Lady Ragnell. Jak już zostało ustalone, zostawały wychowywane do swojego „prawdziwego powołania” jako matki i żony. Znany utylitarysta zauważa, że „patrzac na bieg rzeczy, można by sądzić, że mężczyźni wiedzą, iż to domniemane powołanie kobiet jest tym właśnie, do czego one z natury największy wstręt uczuwają; że gdyby miały wolność postępowania inaczej, gdyby dozwolono im używać według upodobań czasu i zdolności swoich, liczba tych, które by przyjęły dobrowolnie położenie, jakie za naturalne dla nich uważają, byłaby niedostatecz-

Czego pragną kobiety? Jakież było zdziwienie, gdy okazało się, że ich marzeniem jest po prostu możliwość samodzielnego wyboru

kobiety? Jakież było zdziwienie, gdy okazało się, że ich marzeniem jest po prostu możliwość samodzielnego wyboru. Gdy sama Lady Ragnell otrzymała wolność, czar rzucony na nią przysł i stała się wolną, piękną kobietą u boku kochającego męża, który był jej partnerem, nie dopustem bożym czy łaskawym panem⁹.

na¹⁰. Tą retorykę Mill porównuje między innymi do argumentacji obrońców niewolnictwa w Luizjanie i w Karolinie Południowej, która opierała się na tym, że biały człowiek nie chce się podjąć uprawy trzciny cukrowej i bawełny. Czarni ludzie zaś nie poprzestaliby na proponowanym wynagrodzeniu, więc po prostu trzeba ich



Photo by Womanizer Toys on Unsplash

zmusić do pracy. Aż ciśnie się na usta powiedzenie „płaćcie im godnie, to nie będzie problemu”. Millowi pewnie też się cisnęło, bo zasugerował to w swoim tekście. Lepiej, przeniósł tę argumentację na sytuację kobiet. Wysnuł tezę, dlaczego współcześni mu mężczyźni mogą czuć wstręt do równouprawnienia kobiet i co ciekawe, nie jest to obawa przed niechęcią do zamążpójścia. Po pierwsze postrachem jest to, że mogą zażądać „godnej zapłaty” – równości małżeńskiej. Po drugie „postrachem ich [mężczyzn – przyp. red.] jest przecucie, że wszystkie kobiety mające zdolności i charakter będą wolały każdą robotę nie poniżającą, aniżeli małżeństwo nadające im pana,

któremu wszystko, co posiadają na ziemi, zmuszone są poświęcić¹¹. Mill nie posuwa się jednak do generalizacji na wszystkich mężczyzn. Zauważa, że „jeśli mężczyźni chcą trwać w dowodzeniach, że prawem małżeństwa ma być despotyzm, mają słuszną zupełną w interesie własnym, nie dając kobiecie możliwości innego wyboru¹². Równouprawnienie w małżeństwie nie jest więc w interesie jedynie mężczyzn despotycznych i takich, którzy w relacjach szukają nie partnerstwa, lecz poddanych. Sam Mill zauważył jednak, że małżeństwo za jego czasów już było nieco postępowe – konieczność zamążpójścia to był krok do przodu po porwaniach lub sprzedaży przez ojca.

⁹ Vide Lady Ragnell, w: M. Sayalero: *Baśnie, których nie czytano dziewczynkom*, Warszawa: Dwukropek 2019, s. 77-90.

¹⁰ S. Mill, op. cit., s. 311.

¹¹ Ibidem, s. 311-312.

¹² Ibidem, s. 312.

Moc wolnego wyboru w karierze

Filozof rozważa też sytuację kobiet na rynku pracy. Oczywiście żył w czasach, w których praca zarobkowa kobiet, ba, posiadanie przez nich jakiegokolwiek majątku osobistego było niemalże niemożliwe, podobnie jak dostęp do większości zawodów. Zazwyczaj brak dostępu tłumaczony był brakiem kompetencji kobiet, ich niższym wykształceniem czy prostym „to nie jest zajęcie dla kobiet”. Mill jednak ma prosty sposób na bardzo proste odsiewanie kandydatów i kandydatek dobrych od złych: konkurencja. Tak, nie jest to

zdolnych kobiet niż przeciętnych mężczyzn. Tutaj Mill płynnie przeprowadza swój wywód, odbijając argumenty niczym tenisista na korcie. Na twierdzenie, że kobiety nie są zdolne do sprawowania władzy / objęcia takiego a takiego stanowiska Mill odpowiada: „Jeśli ustawy rządowe pewnego kraju wyłączyć mogą niezdolnego mężczyznę, wyłączą również niezdolną kobietę”¹³. Dalej na tezę, iż kobiety są bardziej nerwowe filozof rzecze: „Czy nerwowi mężczyźni uznani są za niezdolnych do obowiązków i zajęć, jakie zwykle pełnią mężczyźni?”¹⁴. Słyszac,

W drodze do równouprawnienia w świetle tych rozważań nie stoi żadna bariera związana z różnicami w poziomie inteligencji czy kompetencji. Okazuje się, że może być nią po prostu konkurencja.

Korzyści z równouprawnienia

Czy równouprawnienie jest zatem potrzebne, skoro zdaje się rodzić tylko konkurencję dla mężczyzn? Oczywiście. Mill znajduje w nim wiele korzyści. Jako pierwszą i główną wskazuje to, że sprawiedliwość będzie regulować najbardziej powszechnie i głębokie stosunki międzyludzkie. Nie będzie

i władzy”¹⁶. Kolejnym dobrodziejstwem, jakie niesie równouprawnienie według Milla jest „zdwojenie sumy umysłowych zdolności, jakie ludzkość ma na swój użytek”¹⁷. Tu działa proste prawo przyczynowo-skutkowe: więcej intelektualistów i naukowców daje szansę na szybszy rozwój, większa konkurencja przyczynia się do lepszej jakości świadczonych usług. Relacje oparte na partnerstwie i byciu sobie wzajem wyzwaniem i bodźcem do rozwoju są korzystne dla obojga partnerów.

Wreszcie Mill wskazał na bezpośrednią wygraną i ogromną korzyść, jaką jest wyzwolenie połowy

Słyszac, że kobiety są zbyt wrażliwe Mill pyta: „Francuzi i Włosi mają bez wątpienia nerwy wrażliwsze z natury niż rasy teutońskie, a porównani choćby z Anglikami okazują się skłonniejsi do wrażeń w życiu codziennym: czyż dlatego ich uczeni, politycy, prawodawcy, urzędnicy, wojownicy i strategicy byli mniej znakomitymi?”

nowe rozwiązanie i nie wymyśla tu koła na nowo. W zawodach, na które monopol mają mężczyźni, przecież tak właśnie wybiera się osoby, z których usług chce się skorzystać. Tym prostym zabiegiem Mill odśladania hipokryzję i roszczeniowość mężczyzn. Istnieje ryzyko, że społeczeństwo bardziej będzie chciało korzystać z usług

że kobiety są zbyt wrażliwe Mill pyta: „Francuzi i Włosi mają bez wątpienia nerwy wrażliwsze z natury niż rasy teutońskie, a porównani choćby z Anglikami okazują się skłonniejsi do wrażeń w życiu codziennym: czyż dlatego ich uczeni, politycy, prawodawcy, urzędnicy, wojownicy i strategicy byli mniej znakomitymi?”¹⁵.

Mill wskazał na bezpośrednią wygraną i ogromną korzyść, jaką jest wyzwolenie połowy ludzkości poprzez zamianę cudzej woli na wolność, którą to rozum kieruje. Liberalny filozof zauważa, że po pokarmie i odzieniu to właśnie wolność jest największą potrzebą ludzką, możliwość kierowania swoim postępowaniem według sumienia, poczucia obowiązku, a wreszcie – pasji

miejsca na niesprawiedliwe wywyższanie się wśród innych i egoizm. Mężczyzna w związku opartym na partnerstwie może prawdziwie mieć żonę, nie sługę czy kochankę. Przyczyni się to do tego, że świat dogoni swoje ideały, wśród których wysoko na liście jest to, że to „zasługa, nie zaś urodzenie, jest jedynym legalnym tytułem do poszanowania

ludzkości poprzez zamianę cudzej woli na wolność, którą to rozum kieruje. Liberalny filozof zauważa, że po pokarmie i odzieniu to właśnie wolność jest największą potrzebą ludzką, możliwość kierowania swoim postępowaniem według sumienia, poczucia obowiązku, a wreszcie – pasji.

¹³ Ibidem, s. 336.

¹⁴ Ibidem, s. 346.

¹⁵ Ibidem.

¹⁶ Ibidem, s. 365.

¹⁷ Ibidem.

Wnioski (jeszcze nie) końcowe

Czy to wszystko znaczy, że kobiety mają porzucić teraz własne dzieci, masowo się rozwodzić i pracować, trzymając mężczyzn w domu przez następne stulecia w odwecie?

Nie, zdecydowanie nie. Tym, co postulował Mill, było równouprawnienie i zmiana patriarchalnego porządku świata, w którym kobiety są poddanymi swych mężów, ojców, braci. Poruszał kwestie praw wyborczych, dostępu do rynku pracy, samostanowienia.

Nie były to oczywiście postulaty pozbawione wad – Mill uważał, że kobiety powinny wykonywać takie prace, które nie przeszkadzają im w prowadzeniu domu, które nadal miało być ich obowiązkiem. Najlepiej jednak, aby pracą zajmowały się kobiety bezdzietne, wdowy albo mężatki, które już wychowały swoje dzieci. Dziś taki argument zostałby wyśmiany, ale w XIX wieku jego tezy były przełomowe i kontrowersyjne.

Poddaństwo kobiet i myśl Milla, rodząca się we współpracy z Harriet Taylor, były kamieniem milowym na drodze do tego, co kobiety mają dziś: prawa wyborcze, równouprawnienie zagwarantowane w wielu konstytucjach, liczne zapisy o swobodnym dostępie do stanowisk i urzędów.

Jest to kamień milowy, ale jeszcze nie koniec drogi. O raz uzyskane prawa (lub niższe bariery na drodze do

nich) trzeba nieustannie się starać. Pokazują to przykłady choćby z naszego podwórka, takie jak wyrok Trybunału Julii Przyłębskiej z 2020 roku czy krążący po internecie przed wyborami filmik o stowarzyszeniu Patriarchat, którego postulaty zakładały między innymi uczynienie kobiet „częścią dobytku” mężczyzn. Takie pomysły, choć nie pozostające bez reakcji, wciąż się pojawiają.

Pokazuje to, że oprócz zmian w prawie, które, choć powoli i chybotliwie, dokonują się w wielu krajach, konieczne są także zmiany w świadomości społecznej i w przekonaniach kobiet oraz mężczyzn. Sam Mill ponad sto lat temu zaznaczał, że w mowie o równouprawnieniu występuje się do „walki z uczuciem powszechnym i głęboko zakorzenionym”¹⁸. Oznacza to, że nawet najbardziej podniosłe zmiany w prawie spełzną na niczym, jeśli nie pójdą w parze ze zmianami w mentalności i przekonaniach. A przecież w równouprawnieniu nie chodzi o to, by brać teraz kilkusetletni odwet na mężczyznach, zamknąć ich w domu i ogłosić nowe panowanie. Nie. Chodzi o to, aby zarówno kobiety, jak i mężczyźni czuli się przy sobie bezpieczni tacy, jacy są. Aby kobiety, które tego chcą, zajmowały się domem nie z polecenia proboszcza, starszych sąsiadek i partnera, lecz niesione własną chęcią, miłością i wyborem. Aby mężczyźni poszli na „tacierzyńskie” bez wstydu. Aby kobiety i mężczyźni pracowali z pasji i chęci uzyskania dochodu, a nie z potrzeby uczynienia zadość oczekiwaniom uznawanym za powszechne. Dla wszystkich starczy miejsca. ●

¹⁸ Ibidem, s. 285.



SYLWIA DZIEMIŃSKA

Absolwentka studiów na kierunku etyka-mediacje i negocjacje i filozofii. Zainteresowana zagadnieniami z obszaru praw kobiet i ochrony środowiska. Korektorka i redaktorka tekstów. Właścicielka firmy „Korekta przy kawie”.

Stoimy na wspólnej scenie. Odnajdujemy kontekst, w którym razem zastanawiamy się „Co nas obchodzić mogłoby w tym kraju, gdzie przyjaciele z dala się obchodzą”? Bo jednak coś nas obchodzi, zajmuje, martwi. I patrząc na świat, będąc zanurzonymi w coraz bardziej niedogodnej, a nawet groźnej codzienności, nie rwiemy sobie włosów z głowy, ale szukamy. Przekopując się przez te ponad już trzydzieści lat polskiej wolności – pojmowanej zarówno jako wolność osobista, polityczna, jak i jako kategoria społeczna – szukamy klucza do własnej wspólnoty, ale też do naszej indywidualności.

(fragment książki)



Magdalena M. Baran w Bibliotece Liberté!

Urzeka mnie w tej książce, że jest próbą powrotu do tego, co najprostsze, ale dziś wyparte i utracone. Powrót do rozmowy, dialogu, niespiesznej wymiany myśli z dala od bezduszno-bezmyślnych „polemik”, które dewastują nasz kraj – oto jedyna droga do ocalenia.

Piotr Augustyniak

W czasie, gdy na świecie dominuje monolog, rozmowa staje się bezcenna. Magdalena M. Baran w swojej książce przywraca rozmowie powagę i znaczenie.

Jarosław Makowski

L!

KTO UMIE W SAMORZĄDY?

MACIEJ CHMIELEWSKI

Przez ostatnie osiem lat obserwowaliśmy próby odwrócenia reformy samorządowej, a przynajmniej zminimalizowania jej oddziaływania. PiS w samorządy nie umie i idei samorządności nie rozumie. Prezes Kaczyński nie jest w stanie pojąć, że mieszkańcy danego miasta mogą mieć inny pomysł na organizację swojej okolicy niż ten, który powstał w jego własnej głowie. Co więcej – nie potrafi się pogodzić z faktem, że ci ludzie mają prawo mieć taki inny pomysł i mogą go realizować.

Za miesiąc bez jednego dnia kolejny raz pójdziemy do urn wyborczych - tym razem wybrać władze nam najbliższe – samorządowe. Powstanie samorządu terytorialnego było prawdopodobnie największym osiągnięciem polskiej transformacji ustrojowej. Czy idealnym? Na pewno nie – trudno jest wytłumaczyć sens istnienia powiatów czy dualizmu na poziomie wojewódzkim – marszałka i wojewody. Trudno też zrozumieć, dlaczego Warszawa ma więcej radnych niż Nowy Jork. To całkowicie zbędne etaty i koszty istnienia tych urzędów, które ponosi podatnik. Tak, należałoby te urzędy i stanowiska czym prędzej zlikwidować, ich zadania przekazać innym organom, a zaoszczędzone środki wydać na coś konstruktywnego. Jednakże te kwestie nie przystaniają podstawowej wartości, jaką przyniosła wspomniana decentralizacja. Wreszcie o sprawach codziennego życia, tak przyziemnych jak lokalizacja przedszkola, drogi czy lokalne warunki zabudowy, decyduje się blisko tych spraw – w danej okolicy. Nie decyduje o tym rządowy nominat, choćby i mieszkający w danej okolicy, ale realizujący politykę rządu. Decyduje człowiek wybrany, co do zasady, przez swoich sąsiadów i przez nich rozliczany. Nie jest bowiem sprawą Warszawy co i jak można budować w Końskich, podobnie jak sprawą Końskich nie jest zabudowa warszawskiego śródmieścia. To sprawa mieszkańców tych miast.

Przez ostatnie osiem lat obserwowaliśmy próby odwrócenia tej reformy, a przynajmniej

zminimalizowania jej oddziaływania. PiS w samorządy nie umie i idei samorządności nie rozumie. Prezes Kaczyński nie jest w stanie pojąć, że mieszkańcy danego miasta mogą mieć inny pomysł na organizację swojej okolicy niż ten, który powstał w jego własnej głowie. Co więcej – nie potrafi się pogodzić z faktem, że ci ludzie mają prawo mieć taki inny pomysł i mogą go realizować.

Dla PiS-u bowiem, podobnie jak kiedyś dla PZPR, samorządy to nie władza odrębna i samodzielna, lecz transfer władzy centralnej do mas. Lokalny burmistrz nie ma myśleć jak najlepiej zabudować nowe osiedle czy zorganizować miejscowy transport. Centrala wyśle „prikaz”, a on ma go jedynie wdrożyć. Ludziom się nie podoba? Tym gorzej dla ludzi. Bo w pisowskiej Polsce nic nie może być indywidualne, dobre lokalnie czy po prostu fajne. W pisowskiej Polsce wszystko musi być centralne, narodowe, pełne kompleksów i pompatyczne. A jak ma nosić czyjeś imię, to koniecznie bohatera narodowego, najlepiej Jana Pawła II – albo wróć! – Lecha Kaczyńskiego.

Najlepszym przykładem pisowskiej mentalności jest CPK. Odłóżmy na moment wszystkie merytoryczne dyskusje o sensowności tego projektu. Założmy, że Warszawa faktycznie potrzebuje nowego lotniska. PiS nie może po prostu wybudować nowego, dużego lotniska, które obsługiwałoby aglomerację warszawską. Wiadomo, że takie lotnisko z założenia będzie największym i w pewien sposób centralnym lotniskiem

w Polsce. Dokładnie tak samo jak dziś jest nim port na Okęciu. PiS musi budować centralny port komunikacyjny, strasząc lotniskiem w Berlinie. Takim, z którego – dodajmy – latają głównie tanie linie lotnicze. Nawet w tak trywialnej kwestii jak infrastruktura, PiS nie umie się obejść bez leczenia kompleksów swojej najgłębszej zaściankowości.

Polaków, którzy zarabiali nieco lepiej, a z drugiej strony diametralnie obniżył dochody samorządu. Obok lokalnych podatków i opłat najważniejszymi dochodami samorządów są bowiem wpływy z PIT i CIT oraz dotacje wraz z subwencjami. A dotacje i subwencje można dać lub nie dać. W ten cudowny sposób PiS pozbawił samorzą-

Doprowadzanie do pogorszenia sytuacji finansowej dużych ośrodków na rzecz dotowania mniejszych może w krótkim terminie przynieść doraźne korzyści polityczne, lecz w perspektywie długoterminowej skutkować będzie słabszym rozwojem także tych mniejszych ośrodków

PiS nie rozumie, że Polska jest dziś ważnym państwem Unii Europejskiej, a Polacy funkcjonują bez kompleksów wśród innych narodów europejskich.

W tych warunkach przez osiem lat byliśmy świadkami i zarazem ofiarami walki z samorządami. Nie mając większości do zmiany konstytucji, PiS postanowił samorzady zniszczyć finansowo - rok po roku PiS zwiększał obowiązki samorządów zarazem ograniczając ich dochody. Kwintesencją tych działań był „polski ładu”. Przenosząc część podatku dochodowego na rzecz para-podatku – składki zdrowotnej i jednocześnie podnosząc kwotę wolną, PiS upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Z jednej strony ordynarnie okradł tych

dy gwarantowanych i obiektywnych dochodów na rzecz decyzji politycznej partii aktualnie rządzącej. W wydaniu praktycznym odebrał pieniądze dużym i liberalnym miastom, aby na ich koszt sponsorować ośrodki spolegliwe wobec pisowskiej władzy.

Aby spojrzeć na skalę tego zjawiska, wystarczy porównać dane o dochodach samorządów w dłuższym okresie czasu. Od 2018 roku coroczny wzrost dochodów samorządów z PIT i CIT oscylował wokół 10% rocznie. To całkowicie normalna konsekwencja wzrostu wynagrodzeń w gospodarce – wyższe pensje i lepsze wyniki firm to wyższe podatki. Tymczasem w roku



2022 – pierwszym roku obowiązywania „polskiego ładu” – ten wzrost wyniósł jedynie 3,7%. Co się stało, widzimy w wynikach całego sektora – o ile w latach poprzednich dochody sektora samorządowego ogółem wyniosły 12-13% PKB, to w roku 2022 było to 11,3%. O ile jeszcze dochody gmin wiejskich niewiele, ale jednak wzrosły, to gmin miejskich już spadły nominalnie.

Aby rozwiązać wątpliwości ten mniejszy wzrost dochodów absolutnie nie był konsekwencją globalnego obniżenia podatków, cięcia wydatków

czy po prostu zmniejszenia wydatków sektora publicznego względem całości gospodarki. Za to każdy rząd należałoby nie tyle pochwalić, co wręcz wynieść na polityczne ołtarze. Niestety wydatki szeroko rozumianego państwa w Polsce rosną i szans na poprawę nie widać. Żadną poprawą sytuacji nie może jednak być ograniczanie rozwoju ośrodków miejskich. Niezależnie od słuszności zarzutów o rozwarstwienie i nierówne tempo rozwoju, to duże ośrodki zawsze były i będą wehikułem napędzającym rozwój całej gospodarki. Wiele z inwestycji i innowacji

wymaga odpowiednio dużego popytu, aby odnieść sukces, a ten z przyczyn oczywistych nigdy nie powstanie w ośrodkach mniejszych. Te mogą skorzystać na sukcesie dopiero w drugiej kolejności, gdy dana innowacja odniesie sukces i rozleje się po całym rynku. Doprowadzanie do pogorszenia sytuacji finansowej dużych ośrodków na rzecz dotowania mniejszych może w krótkim terminie przynieść doraźne korzyści polityczne, lecz w perspektywie długoterminowej skutkować będzie słabszym rozwojem także tych mniejszych ośrodków. Efekty „polskiego ładu”, a także skutki blokady środków unijnych widzimy już teraz w spadku inwestycji po stronie dużych miast. Choć na pierwszy rzut oka może cieszyć spadek zadłużenia sektora samorządowego, to trzeba mieć świadomość, że nie wynika on z genialnego zarządzania czy nagłego wzrostu dochodów, które nie zostały jeszcze zagospodarowane. Tymczasem skutki mniejszych inwestycji będziemy odczuwać w postaci wolniejszego rozwoju w latach następnych.

Czym się kończy nadmierne „dojenie krowy”, widzimy w tzw. janosikowym. Choć nie jest to wymysł ostatnich ośmiu lat, to jednak jest to, obok „polskiego ładu”, kolejny hamulec zaciągnięty na rozwoju polskich miastach. Jest to swoiste opodatkowanie najbogatszych samorządów, aby środki te rozdysponować wśród gmin najbiedniejszych, dążąc do wyrównania ich możliwości rozwojowych. Janosikowe płacą gminy przekraczające 150% dochodów na mieszkańca dla gmin, 120%

dla powiatów i 125% dla województw. W 2022 roku janosikowe zapłaciły 144 jednostki na 2850 ogółem. W teorii można by to uzasadnić jako oddanie przez największe ośrodki dochodów utraconych przez mniejsze np. poprzez migrację mieszkańców do dużych miast. Tyle że praktyka pokazuje, że ci ludzie często płacą swoje podatki właśnie w miastach pochodzenia.

Patologię janosikowego najlepiej ukazują przypadek województwa mazowieckiego, gdy w 2013 roku przyszło mu zapłacić 660 mln złotych przy dochodach 3 mld (janosikowe bowiem płaci się na podstawie dochodów sprzed 2 lat). Choć w swej idei miało to zagwarantować czas na zaplanowanie wydatku w budżecie, to żaden samorząd nie jest w stanie przewidzieć kryzysu i radykalnego spadku dochodów oraz konieczności oddania niemal 1/4 budżetu. Szczególnie gdy rozmawiamy o przypadku wyjątkowo specyficznym – Mazowsze pozbawione Warszawy to jeden z najbiedniejszych rejonów w Polsce. W ramach samorządowego socjalizmu nakazano biednym głodować i podzielić się z bogatszymi. Tego absurdu do dziś nie zmieniono

PiS, podobnie jak komuniści i sanacja, samorządów nie lubi, ponieważ są one zaprzeczeniem wyżej opisanych kompleksów. Samorzady to decentralizacja władzy i pozbawienie rządu centralnego części władzy – tej władzy, która najbardziej wpływa na codzienne życie ludzi. Jak ważna jest dywersyfikacja ośrodków władzy, pokazało nam

ostatnie osiem lat. Mimo podejmowanych prób, PiS nie był w stanie zablokować antyrządowych demonstracji, a postawienie smoleńskich profanacji pomników zostało, choć nie zablokowane, to znacznie opóźnione. Podejmowane przez Przemysława Czarńkę próby wykorzystania państwowych szkół do, dosłownie, hodowli nowych Polaków, powstrzymała podległość szkół nie tylko ministerialnym kuratoriom, ale też bezpośrednio samorządom. Podobnie samorzady powstrzymały organizację brązowych marszy narodow-

kowym szczęściem na automatach w kasynie. Niejasności, niekompetencji czy wręcz jawnych nadużyć jest w samorządach oczywiście dużo. Śmiem postawić tezę, że im mniejsza miejscowość, tym pole do nadużyć, kolesiostwa oraz zwykłych błędów jest większe – mniej jest kontroli mediów. Największe miasta także mają swe olbrzymie grzechy – choćby plany zagospodarowania przestrzennego, a dokładniej ich brak. Kompromitacją jest fakt, że stolica kraju może nie mieć planów zagospodarowania dla po-

Samorzady to decentralizacja władzy i pozbawienie rządu centralnego części władzy – tej władzy, która najbardziej wpływa na codzienne życie ludzi

ców czy nieco już zapomniane inwestycje deweloperskie spółki Srebrna. Wieże Kaczyńskiego nie powstały właśnie dzięki temu, że pozwolenie na ich budowę musiał wydać samorząd.

Oczywiście nie jest tak, że samorzady to krystalicznie czysty obszar pozbawiony korupcji i lokalnych układów. Wiele jest przypadków, gdzie burmistrz lub prezydent otoczony swoistym dworem rządzi od pięciu kadencji. Oczywiście można przyjąć, że jest tak dobry, że lepszy się nie znalazł. To, że jego majątek urósł w tym czasie niewspółmiernie do oficjalnie osiągniętych dochodów, także można tłumaczyć darowiznami dziadków na edukację wnuków lub wyjąt-

kowy swej powierzchni, w tym prawie całego centrum. Inne duże miasta nie są lepsze. Nie, swoboda wydawania w takiej sytuacji zezwoleń – warunków zabudowy – to nie jest pożądana elastyczność. Wszystko jest lepsze niż swoboda urzędników do podejmowania takich decyzji jak pozwolenie na budowę. Te zasady powinny być jasne i przejrzyste, a urzędnik jedynie sprawdzać wnioski z wymaganiami. Tyle że idąc tym tokiem rozumowania naturalną konsekwencją prezydentury Andrzeja Dudy powinna być likwidacja urzędu Prezydenta RP. Nie wydaje się to właściwym kierunkiem, tak samo jak nie jest właściwym kierunkiem likwidowanie de iure czy de facto samorządu terytorialnego.

Wiele z błędów samorządów to także efekt braku zainteresowania obywateli i dostatecznej kontroli wyborców. Choć samorzady odpowiadają za najbliższe nam otoczenie, to często ich swoboda decyzyjna ograniczona jest w ustawowych wiodkach. Przykładowo samorzady nie mogą między sobą konkurować stawkami podatków dochodowych. Pomijam kwestie podatku od nieruchomości - ustawa wyznacza jedynie poziom maksymalny, teoretycznie każda gmina może ustawić niższy. Problem w tym, że stawka maksymalna jest tak niska, że nie staje się żadnym argumentem dla wyboru miejsca zamieszkania czy prowadzenia firmy. W praktyce gminy ustalają najwyższy dopuszczalny poziom, a wszelka sprawczość ma charakter iluzoryczny. Dopiero pozwolenie regionom na prawdziwą konkurencję pomiędzy

do decyzji samorządom. Tak na szczeblu gminnym, jak i wojewódzkim. Uosobieniem patologii dzisiejszej zależności samorządu od rządu jest możliwość zablokowania każdej uchwały rady gminy, powiatu czy sejmiku przez wojewodę. Nominowany przez rząd wojewoda może pod byle pretekstem nie zaskarżyć do sądu, a zawetować każdą uchwałę, dopiero organ, który tą uchwałę wydał, może domagać się w sądzie uchylenia weta. W praktyce wojewoda może co najmniej opóźnić wejście w życie każdej uchwały, która mu się zwyczajnie nie podoba.

Wiele z tych zarzutów należy skierować także do samych samorządów. Zamiast słuchania głosu mieszkańców i traktowania ich jako partnerów, a zarazem pracodawców, pomija

dnia, gdy większość ludzi zwyczajnie przebywa w pracy. Pytania zadawane w ankietach są tendencyjne, a gdy już konsultacje dadzą wynik sprzeczny z oczekiwaniami urzędników, starają się oni podważyć ich wiarygodność. Jak obywatele mają czuć się suwerenem swojej własnej ziemi i angażować w sprawy społeczne?

W tych warunkach, a także wobec upartyjnienia samorządów w większych miastach, trudno się dziwić zarówno brakowi zainteresowania, jak i zrozumienia kompetencji samorządu. W całej Europie to wybory samorządowe cieszą się największą frekwencją – w Polsce jest dokładnie na odwrót. Kampania wyborcza? O konkretach? W mniejszych miastach na pewno też, niestety w tych dużych znowu będziemy słyszeć o aborcji, prawach osób LGBT czy polityce zagranicznej. Niestety, ponieważ żadnego z tych bardzo ważnych tematów, te wybory nie dotyczą. Nie

ma żadnego znaczenia co na temat aborcji tu dzieje się praw kobiet myśli prezydent miasta. Ma natomiast kolosalne znaczenie, co sądzi o strefach płatnego parkowania, zwężaniu ulic, cenach biletów komunikacji miejskiej czy opłatach za wywóz śmieci. Bo prezydent miasta nie może nic zrobić z prawem do aborcji. Ale może miasto rozwijać i czynić w nim życie bardziej komfortowym. Może też zamienić ulice na ścieżki rowerowe, uczynić parkowanie płatnym na obszarze połowy miasta i sprawić, że życie w mieście stanie się koszmarem dla wszystkich, dla których rower jest środkiem rekreacji, a nie sensem życia. Gdziekolwiek mieszkamy, sprawdźmy kim są kandydaci, jaką mają wizję miasta, co w razie wygranej zrobią z naszym najbliższym otoczeniem. Jeśli obiecują nam cokolwiek spoza kompetencji samorządu, nie głosujemy na nich. Pomylili wybory, a nas traktują wyłącznie jako trampolinę do wyższych stanowisk. Zasługujemy na więcej. ●

Uosobieniem patologii dzisiejszej zależności samorządu od rządu jest możliwość zablokowania każdej uchwały rady gminy, powiatu czy sejmiku przez wojewodę

sobą, przeniesienie szerokiego zakresu odpowiedzialności na ich poziom, spowoduje zaangażowanie obywateli w życie społeczne i nadzór nad polityką. Polska nie musi być krajem tak unitarym jak jest, a kompetencje władz centralnych mogą zostać spokojnie ograniczone do kwestii ogólnych, pozostawiając rozwiązania szczegółowe, nieistotne z perspektywy państwa jako całości,

się ich głos narzucając na siłę z góry ustaloną tezę. Władze największych miast w Polsce wielokrotnie okazują się zakładnikami miejskich aktywistów, często prezentujących skrajne poglądy, oderwane od tego co myślą przeciętni mieszkańcy. Konsultacje społeczne bywają nieśmiesznym żartem, by nie powiedzieć, że kpiną – organizowane w dzień powszedni, o porze



MACIEJ CHMIELEWSKI

Manager specjalizujący się w handlu detalicznym i transformacji biznesu. W dotychczasowej karierze kierował inwestycjami takimi jak uruchomienie nowego centrum logistycznego w Bukareszcie czy budowa dystrybucji ecommerce w kilku miastach w Polsce. Absolwent Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, liberał, wolnorynkowiec, a nade wszystko wolnościowiec uznający za najważniejszy obowiązek państwa ochronę obywatela przed samym państwem.

THE WINTER OF OUR DISCONTENT

MICHAEL GIELETA

Niektórzy czytelnicy mogą pamiętać rolę niezależnej kultury za Żelazną Kurtyną; nie mam tu na myśli kościelnych recytacji poezji czy odśpiewywania w prywatnych mieszkaniach „zakazanych piosenek”. Na myśli mam kontekst, w którym największe dzieła literatury światowej nabierały podwójnego, konspiratorskiego znaczenia: w trzeciej części *Dziadów* Nowosilcow naturalnie był historycznym, jak i współczesnym odzwierciedleniem rosyjskiego/radzieckiego „namiestnikowstwa” w Polsce.

Wszystko zależy od kontekstu, przynajmniej na Harvardzie. Zachęcanie do linczowania czarnych na Południu tylko wtedy jest wykroczeniem, kiedy słowa stają się czynami. Potrzeba dyndających z płatów „strange fruits”, cytując Billie Holiday, żeby uznać słowa zastraszenia i obwiniania Diaspory za akcje innego państwa za podjudzanie hord wielbicieli Jihadu i adwokatów prawa szariatu na terenie Europy do „stawiania się czynem”. Ergo, trzeba wtargnąć do kolejnej synagogi i wyrzelać ludzi. Najpierw w Izraelu wybić ostatniego Żyda. A potem zabrać się za Diasporę. W czasach, w których uznają Tel Aviv za bezpieczniejszy niż Londyn, świat, jak w Elsinorze, chyba „wypadł z orbit”.

Antysemicka mordercza agresja po 7 października nie jest przecież niczym nowym. Przy skupieniu mediów na cierpieniu mieszkańców, kto dzisiaj nawet pamięta niedawne wystrzelanie kongregacji w synagodze w Pittsburgu albo wzięcie za zakładników modlących się w Coleyville w Teksasie? Kto pamięta pozabijane dzieci w żydowskich szkołach w Tuluzie i Monauban? Strzelanie w synagodze w Halle w Yom Kippur? Atak na zwiedzających Muzeum Żydowskie w Brukseli? Atak na synagogę w Götterborgu? Koktajle Mołotowa, które poleciały na synagogę w Izmirze? Strzelanie do modlących się w Pesach w synagodze w Poway w Kalifornii? Zamordowanych ludzi w koszernym sklepie w Grenville w New Jersey? Zanożowanie celebrantów Chanuki w Monsey

w stanie New York? Morderstwo młodych Żydów na Prenzlauer Berg w Berlinie? Granat eksplodujący w żydowskim sklepie w Sarcelles? Mord żydowskich zakładników przy Porte de Vincennes w Paryżu? Atak na centrum kulturowe w Krudttønden w Danii? Zabójstwo członków Żydowskiego Centrum Kulturalnego w Nicei? Mord uczestników spotkania w Żydowskim Centrum Kulturalnym w Kansas? Kto pamięta? Proszę zwrócić uwagę, że ta lista niewspomnianych nigdzie aktów popełnionych przez militarny odszczep przedstawicieli „religii pokoju” (tę mantrę nakazują nam powtarzać brytyjskie media) to tylko plon ostatniej dekady poprzedzającej atak Hamasu na Izrael. Pominięte na tej liście zostały ataki na puste budynki, bezczeszczenie świątyń i cmentarzy, morderstwa pojedynczych osób oraz werbalne i fizyczne ataki na przemieszczających się po miastach Europy mężczyzn w kipach. Na powyższej liście brak też morderczych ekscesów na terenie Bliskiego Wschodu, Ameryki Południowej i Afryki. Pytanie pozostaje jednak to samo: Kto, w kontekście 7 października słyszał o kontynuacji tych antysemickich ataków przez radykalizowanych „nowych Europejczyków” długo przed wybuchem wojny w październiku 2023 roku? Ja nie: ani w anglo-, ani francuskojęzycznej zachodniej prasie. Ironicznie, brak o tym mowy tak Ha'aretzu, jak i w Jerusalem Post.

Niektórzy czytelnicy mogą pamiętać rolę niezależnej kultury za Żelazną Kurtyną; nie mam tu na myśli kościelnych recytacji poezji czy odśpiewywania

w prywatnych mieszkaniach „zakazanych piosenek”. Na myśli mam kontekst, w którym największe dzieła literatury światowej nabierały podwójnego, konspiratorskiego znaczenia: w trzeciej części *Dziadów* Nowosilcow naturalnie był historycznym, jak i współczesnym odzwierciedleniem rosyjskiego/radzieckiego „namiestnikostwa” w Polsce. Ilekroć Hamlet, w wielu interpretacjach, wypowiadał słowa „Denmark is a prison”, Dania stawała się Polską, a Klaudiusz sowieckim uzurpatorem i mordercą prawowitego władcy. Fortynbras jawił się jak zachodni wyzwoliciel, który upora się z restauracją państwa polskiego poznałego zarówno mordami opozycji (Hamlet), niewinnych ofiar reżimu (Ofelia, Horacy) jak i samych zbrodniarzy (Klaudiusz oraz, świadomie

czy *Szkarłatna Wyspa* Bułhakowa bywały zdejmowane z afisza gdyż budziły „skojarzenia niekorzystne dla aktualnych realiów”. Zbrodnie uzurpatorów, takich jak Makbet czy Ryszard III stawały się zbrodniami władzy, a upadek tych postaci prorokował niewyobrażalny wtedy kres komunizmu. Otwierający *Ryszarda III* „the winter of our discontent” był tak naprawdę analogią Polski żyjącej pod butem reżimu. „Słońcu Yorku” nigdy nie udało się tej zimy zamienić na „promieniste lato” reżimu.

Unikalną właśnie relację kontekstu i aluzyjności zaobserwowałem niedawno poprzez doświadczenia teatralne w Tel Awiwie. Co ciekawsze, odkryłem tę relację w formie retrospektywnej:

Pytanie pozostaje jednak to samo: Kto, w kontekście 7 października słyszał o kontynuacji tych antysemickich ataków przez zradkalizowanych „nowych Europejczyków” długo przed wybuchem wojny w październiku 2023 roku? Ja nie: ani w anglo-, ani francuskojęzycznej zachodniej prasie. Ironicznie, brak o tym mowy tak Ha’aretzu, jak i w Jerusalem Post

lub nie, Gertruda). Antygona, nie mogąca pochować zwłok Polinejesa, stawała się matką, żoną, siostrą pomordowanych przez reżim sowiecki „zaginionych” opozycjonistów. Elektra w wersji Giraudoux, Arturo Ui Brechta, *Król Ubu* Jarry’ego

przedstawienia te były w repertuarze teatrów długo przed październikiem zeszłego roku. Nie zostały one „przystosowane” do nastroju kraju: powszechnego sensu żałoby, samotności i niezrozumienia na arenie międzynarodowej, ani też



Photo by CHUTTERSNAIP on Unsplash

wycieńczenia cierpliwości społeczeństwa miotającym się rządem Netanyahu, kryptycznością hamasowskich „informacji” (lub jej całkowitego braku) o losie tych, którzy uwięzieni są jeszcze w podgazańskich tunelach oraz codziennego dodawania imion kolejnych chłopców rezerwistów postrzelonych na terytorium Gazy do listy ofiar wojennych. Może niedefiniowalne misterium teatralne jest w stanie przekierować umysły i emocje publiczności na rejony ich podświadomości? I właśnie nowy, tragiczniejszy kontekst doświadczenia teatralnego nadaje tak samemu tekstowi, jak i jego inscenizacji nowe, tragiczne znaczenie. Nawet gdy dana sztuka nominalnie zajmuje się czymś innym niż teraźniejsze wydarzenia, nie zauważyłem w Izraelu, by kontekst świata na zewnątrz audytorium wbijany był w kotlarski sposób w mózg widza postrzeganego w reduktywnie jako nieumiejętnego skojarzenia istniejących postaci z, pożałujcie, Boże, chromymi, sutannowymi, pisowskimi czy świętomaryjnymi „symbolami”, z przypiętymi do policzka mikroportami. Tak, jak ma to miejsce w teatrze w Polsce. Czy naprawdę polscy twórcy teatralni aż tak nisko cenią zdolność skojarzeń umysłów publiczności, że muszą teatralnie głośno chrząknąć, trzy razy puścić do widza oko i upewnić się, czy na pewno zrozumiał, że ksiądz jest zły, szczerłość wyraża się przez nagość, a prezentowanie historycznych sztuk we współczesnych kostiumach oznacza, że dana sztuka może się dziać tu i teraz, a nie wtedy i tam? Wow! Chrząknięcie, puszczone oko i klapnięcie

widza po plecach z zapytaniem: „zrozumiałeś o co w tym chodzi?” *No, thank you very much.*

Anioły w Ameryce Tony Kushnera w Cameri Theatre w oryginalnie czystej formie nabrały właśnie kolejnej głębi znaczeniowej poprzez październikowy kontekst. Znając duże fragmenty tekstu na pamięć, nagle uderzyło mnie bogactwo znaczeniowe tej sztuki, którą, wydawało się, że oglądam po raz pierwszy. Przynajmniej dzięki Claudine Gay wiem, że „wszystko zależy od kontekstu”. W sztuce Kushnera oglądanej w kontekście Izraela po 7 października uderzyło mnie przede wszystkim nieme przyzwolenie obojętnego świata na wymarcie danej mniejszości pozostawionej samej sobie z niezwalczanym wirusem. Wirusem, który dotyczy tej tylko pogardzanej mniejszości, więc po co się nim w ogóle zajmować. Chrząkam do Państwa teraz, puszczam oko i upewniam się, że rozumie Państwo, że niezwalczanym wirusem jest Jihad, obojętność świata to przykładowo stosunek Narodów Zjednoczonych czy Czerwonego Krzyża wobec pomordowanych 7 października w niewyobraźalnie makabryczny sposób matek, ojców i ich dzieci. Zakładam też, że rozumie Państwo, z czym Żydom kojarzy się palenie dzieci w piecach. Na scenie, ściekający potem i zapluty w swoich machinacjach, Roy Cohn jest jak kombinujący na wszystkie sposoby Bibi: oby tylko wiadomość o jego „chorobie” nie wydostała się na światło dzienne i nie umniejszała jego roli w manipulowaniu rządem i społeczeństwem. Symbolicznie, w oryginalne Kushnera,

relacja centralnych kochanków Priora i Louis'a jest sama w sobie wyrażeniem dylematu „kto tu dotarł pierwszy”, kto jest stąd, a kto jest „napływowy”, kto ma w sobie szlachetność autochtona, a kto zaledwie dwupokoleniową politurę imigranta udającego „prawdziwego Amerykanina”. Chrząkam i zakładam, że rozumie Państwo, co ten dylemat w dzisiejszym kontekście może w Izraelu znaczyć. Prior, jak wskazuje samo imię, jest z rodziny pierwszych z najpierwszych Anglików, którzy dotarli na statku Mayflower do Cape Cod

rozseksualizowanie i poczucie nieograniczonej wolności obyczajowej było domeną konkretnej mniejszości seksualnej, a nie częścią ludzkiej natury, bez wglądu na to czy praktykowanej czy też niepraktykowanej. Louis z kolei jest wnukiem emigrantów przybyłych z Europy Wschodniej po serii carskich pogromów. Dziadkowie mówią ze słowiańsko-yiddischowskim akcentem, słuchają się miejscowego rabina i starają się wypełniać tyle mycw, czyli dobrych uczynków z 613 przykazań Tory, ile się da. Louis jest stuprocentowym

Zbrodnie uzurpatorów, takich jak Makbet czy Ryszard III stawały się zbrodniami władzy, a upadek tych postaci prorokował niewyobraźalny wtedy kres komunizmu

w 1620 roku. Pierwszy, najpierwszy, na ziemi, która najpierw była Kolonią Plymouth, a z czasem stała się Ameryką. Ale przecież przed Kolonią Plymouth ta ziemia istniała i była zamieszkała. Pomijamy to poprzez co? Hipokryzję połączoną z autoiluzją? Z ignorancją? Z mitomanią? I to właśnie Prior jest zarażony AIDS, a jego śmierć jest zapowiedzią rzekomych 700 000 zmarłych w samych tylko Stanach Zjednoczonych nosicieli tego wirusa. Ale kto przejmował się wtedy (czy nawet teraz) śmiercią ofiar AIDS? Mamy tu klasyczne obwinianie ofiary: „Sami się o to prosili”, „Było nie sypiać na lewo i na prawo”, „Bóg ich nareszcie pokarał”. Jak gdyby poligamia,

Amerykaninem, ateistą i adwersarzem rodzinnego balastu shtetlowej przeszłości, który zmusza do podtrzymywania elementów aszkenazyjskiego stylu życia we współczesnej Ameryce. Louis nie jest niby „obcym”, emigrantem, przyjeźdźcą. Jest i nie jest. Religia, szkoła etyczna i niekwestionowany respekt wobec prawa, w których wyrósł Prior, zrodziły się przecież z czterotysięcznoletniego Judaizmu. Kto więc jest autochtonem? Do kogo należy ta ziemia? Kim są Prior i Louis wobec postaci Belize, potomka przywiezionych do Ameryki przez Brytyjczyków niewolników? Czym w tym relatywnym autochtonizmie jest mormonizm, religia uformowana przez Josepha Smitha po

znalezieniu tajemniczych ksiąg w 1830 i pomieszczenie chrześcijaństwa z proroczymi myślami pochodzącymi z objawionej Smithowi księgi?

W klimacie, w którym historyczna rzeczywistość Izraela musi faktograficznie tłumaczyć się sama z siebie; w państwie, które racjonalnie wskazuje ku głuchocie świata na VII-wieczne podboje Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki przez

też był ucieczką mniejszości przed persekucjami w Europie? I kim są w końcu tytułowe anioły w Ameryce?

Wizualnie, wieloznaczeniowość scenografii Erana Atzmona dodała misternej sztuce Kushnera kolejny wymiar: zstępujący z niebios anioł czasem jawił się jako chrześcijański skrzydlaty nosiciel dobrych wiadomości, a czasem jako starobiblijny

znajduje się instalacja z pobliskiego Tel-Awivskiego Muzeum Sztuki: stół szabasowy na 200 miejsc, wokół zawieszono są fotografie zabitych i porwanych. Wyglądają jak rodzinne portrety radosnych i pełnych życia ludzi. Żałoba ta jest żałobą narodu. To nie chodzące w koło przed Casa Rosada w Buenos Aires samotne matki ofiar reżimu. Tutaj schodzi się każdy. I dzieli ten sam los, tak jak ten sam los, z różnymi konsekwencjami, dzielony był przez europejskich Żydów podczas Zagłady. Przy tym szabasowym stole ustawione są również krzesła dla dzieci. A kogo w UNICEF czy w Czerwonym Krzyżu obchodzą pogwałcone dziewczynki czy noworodki uprowadzone do tuneli przez Hamas? W Izraelu nie masz poczucia, że ktokolwiek, poza Diasporą, rozumie ten ból, który tak teraz, jak i od niepamiętnych pokoleń wżera się niczym prażący kwas w żydowskie serca.

Dlatego też w *Ryszardzie III* w niezwykłym Gesher Theatre w Jaffie, z czym innym mogą się dziś kojarzyć podżynane dziecięce gardła synków

Edwarda IV? Monologi królowych Elżbiety i Małgorzaty, wymawiane przez upadłe byłe królowe są właściwie długą listą barbarzyńsko pomordowanych przez ludzkie zło członków najbliższej rodziny. Z czym innym mogą się one teraz kojarzyć? W ustach starszych aktorek pobrzmiwają te słowa jak niedowierzanie izraelskich babć, którym udało się przeżyć Zagładę, aby wpierv stracić syna w wojnie Yom Kippur, a potem wnuka w Gazie. Kto zrozumie ich ból i ich wiarę w imperatyw istnienia silnego Izraela? Może trzeba spędzić kilka lat w ukryciu pod podłogą? Albo z ogoloną głową, w śmierzącym kącie i śmiercią pasiaku patrzeć w krematoryjny dym, wraz z którym nikt na szarym niebie twoi najbliżsi i najukochańsi?

Skąd też dziwić się, że w wieczór walentynkowy Opera Izraelska zaprezentowała Requiem Verdiego? Kalendarzowo nadchodzi już wiosna, ale w sercach wszystkich wokół łopocze dniem i nocą niepokodzenie się z „zimą naszej niełaski”. ●

Prior, jak wskazuje samo imię, jest z rodziny pierwszych z najpierwszych Anglików, którzy dotarli na statku Mayflower do Cape Cod w 1620 roku. Pierwszy, najpierwszy, na ziemi, która najpierw była Kolonią Plymouth, a z czasem stała się Ameryką. Ale przecież przed Kolonią Plymouth ta ziemia istniała i była zamieszkała. Pomijamy to poprzez co?

islamskich Arabów; w państwie, które sceptycznie podchodzi do islamskiego konceptu świętości Jerozolimy opartego na przedagonalnym nocnym locie Mahometa, pytanie, kto jest autochtonem a kto emigrantem rozpala emocje od skrajnej Lewicy po skrajną Prawicę. Czyja więc religia jest ekwiwalentem neofickiej, znalezionej w 1830 roku Księgi Mormona? Czy cumujący przy Plymouth Rock w 1620 roku angielski statek Mayflower pełen Purytanów jest początkiem państwowości, narzuceniem moralności religijnej pozornie odkrytemu „Nowemu Światu”? Czy

Tachanowy „pierwszy refleks żaru Bożego życia”. Żaru, a więc nie śmierci. Pomieszczenie ikonografii Chrześcijaństwa i Judaizmu jest przecież kolejnym wymiarem izraelskości, szczególnie w Jerozolimie.

Połączenie śmierci i ratowania jednego życia, jakby było całym światem i przekleństwo przynajmniej trzytysiącletniego świata pragnącego wymordować wszystkich Żydów (jak na razie bezskutecznie) wypełniają psyche wszystkich Izraelczyków. Teraz bardziej bezpośrednio niż kiedykolwiek od czasów Shoah. Tuż za Operą Izraelską



MICHAEL GIELETA

Reżyser operowy i teatralny. Ukończył studia w zakresie literatury na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie jego mentorem był m.in. Cameron Macintosh. Ponadto ukończył program reżyserski w National Theatre w Londynie. Był asystentem Franco Zeffirellego przy jego realizacji *Absolutely! (perhaps) Pirandella* na West Endzie. Asystował również w Royal Shakespeare Company. Reżyseruje głównie na deskach teatrów brytyjskich, amerykańskich, skandynawskich i południowoafrykańskich. Pełnił obowiązki dyrektora artystycznego awangardowej The Cherub Company London. Współpracował z Yale School of Opera, Royal College of Music oraz Birmingham Conservatoire. Jest także jednym z reżyserów Akademii Szekspirowskiej w Royal Academy of Dramatic Art.

POLITYKA, JEDNOSTKA, WOJNA

MAGDALENA M. BARAN

„Cóż bowiem można zrobić przeciwko sile bez siły”
Cyceron

Jeśli krwawe zabijanie się jest strasznym widowiskiem, to powinno to nas tylko skłaniać do należytej oceny tego, czym jest wojna, a nie do stopniowego – z poczucia ludzkości – stępienia używanego oręża, gdyż wówczas niebawem zjawi się ktoś, kto ostrym mieczem odetnie nam ręce od ciała” – ostrzegał w swej pamiętnym dziele *O wojnie* Carl von Clausewitz. Jego słowa, mimo upływu czasu nie tracą na znaczeniu, a nawet więcej, powinny wyostrzyć nasze myślenie, w obliczu wojen pierwszych 25 lat XXI wieku niejako odnowić pytanie o ludzkość/nie-ludzkość działań zbrojnych. I dalej – pozostając w jakże aktualnych analizach Clausewitza – przypomnieć wypada jego klasyczną już myśl, gdzie wojna stanowi kontynuację polityki, w której po prostu używamy brutalniejszych, czy wręcz zbrodniczych środków. Nie tak znów daleko stąd do odwrócenia tej rzeczywistości, gdy Michael Walzer napisze, iż to polityka jest kontynuacją wojny, prowadzoną pokojowymi środkami. Czyż nie? Elementy teorii Clausewitza, podobnie jak inne znane dłużej traktaty okołowojenne – by wspomnieć tylko *Sztukę wojny* Sun Tzu – pozostają „tragicznie” aktualne, a zastosowanie znajdują nie tylko „na wojnie”, ale również w polityce, biznesie, negocjacjach, rozgrywkach sportowych czy nawet w życiu prywatnym.

Gdy zatem pytamy: „Dlaczego państwa toczą ze sobą wojny?” trudno nie sięgnąć po kolejny klasyk, wydaną po raz pierwszy w roku 1954 książkę Kennetha N. Waltza *Człowiek, państwo, wojna*.

Książkę na świecie wielokrotnie wznawianą, tłumaczoną na wiele języków, uznawaną dziś za element kanonu lektur dla każdego zainteresowanego nie tylko teorią wojny, ale przede wszystkim kwestią stosunków międzynarodowych. Książkę, którą, po 70 latach od jej amerykańskiej premiery, wydano właśnie (sic!) w Polsce. „Nareszcie!” musi wystarczyć za komentarz, bo aktualność rozważań, w których Waltz z erudycją i wirtuozerią łączy pisma dawnych mistrzów (by wspomnieć tylko Cycerona, Rousseau, Spinozę, Kanta czy Machiavellego) z poczynaniami polityków, pozwala nie tylko analizować niegdysiejsze spory, ale także wypracowywać rozwiązania dla przyszłości. Czasem pytamy co może położyć kres wojnom? Po każdej kolejnej powtarzamy „Nigdy więcej!” czy „No more war!”, szukamy rozwiązań, osądzamy zbrodniarzy etc. Tymczasem mimo naszych najlepszych chęci (i nie tylko dlatego, że takowymi piekło jest brukowane) nadzieje każdej ze stron ideologicznego sporu rozpadają się jak domek z kart. Swego nie osiągają ani pacyfiści (niektórzy wręcz – idąc tropem Bertranda Russella – szybko osłabiają swoje skrajne stanowiska) ani zwolennicy radykalnych, wojennych rozwiązań. Wbrew założeniom Manifestu Pugwash czy innym dokumentom/apelom domagającym się oddzielenia nauki od wojny, związek tych dwóch – nawet jeśli w jakimś wymiarze ma służyć pokojowi – tylko się pogłębia. Szukając pokoju wciąż sposobimy się do wojny (*Si vis pacem para bellum...* tu od wieków nic się nie zmieniło); pisząc kolejne konwencje niemal uprzedzająco wychodzimy

naprzeciw zbrodniczej „fantazji”; odkrywamy też nowe „oblicza wojny” mówiąc m.in. o wojnie prewencyjnej, informacyjnej, hybrydowej czy zastępczej (by tylko wymienić kilka „najpopularniejszych”). Szukamy w wojnie „nowoczesności”, a gdy przychodzi co do czego – w Ukrainie czy w Strefie Gazy – widzimy ta samą, przepojoną okrucieństwem i przemocą, wojnę „starą jak świat”. Nasza siła myślenia dochodzi w prawdzie do głosu w instytucjach międzynarodowych, jednak ani one, ani siła naszych demokracji nie kładą – a śmiem twierdzić, że i szybko nie położą – kresu wojnie.

Wobec tego rodzaju pytań o wojnę jako sprawę między ludźmi i między państwami, stawia swoich czytelników Waltz. Jego spostrzeżenia zakotwiczą myślenie w trzech obrazach (ima-

Samo „określenie «obraz» wskazuje również, że, aby wyjaśnić przebieg zdarzeń w sferze międzynarodowej, trzeba wymazać z pola widzenia pewne elementy i skoncentrować się na tych, którym przypisuje się zasadnicze znaczenie”

ges) tworzących spójną wizję prowadzącą od pojedynczego człowieka/natury ludzkich istot, przez rozumienie znaczenia wewnętrznej struktury państwa, aż po architekturę systemu międzynarodowego. Analiza każdego z obrazów pozwala

Autorowi na błyskotliwe podsumowanie, prowadzące czytelników do konkretnych – choć nie dających prostych rozwiązań – wniosków. Nie o owe rozwiązania zresztą chodzi, a raczej o dostrzeżenie/zrozumienie procesów i relacji, jakie budują się pomiędzy owymi obrazami. Samo „określenie «obraz» wskazuje również, że, aby wyjaśnić przebieg zdarzeń w sferze międzynarodowej, trzeba wymazać z pola widzenia pewne elementy i skoncentrować się na tych, którym przypisuje się zasadnicze znaczenie” (Waltz). Tak też robi Autor, prowadząc nas przez szczegółowo analizowane kolejne obrazy.

I tak – z perspektywy optymistów i pesymistów – patrzmy na rozpiętą pomiędzy rozumnością a namiętnościami naturę człowieka (gdzie przyczyną wojen będzie zło tkwiące w człowieku,

egoizm, agresja, instynkt posiadania, czy wreszcie głupota); gdzie „dla pesymistów pokój jest jednocześnie celem i utopijnym marzeniem, optymiści natomiast poważnie traktują założenie, że ludzi da się tak dalece odmienić, aby zaprowadzić na

świecie trwały pokój”. W obrazie drugim, wskazując na luki w teorii i praktyce, wskazuje drogę „od wiary w poprawę w obrębie poszczególnych państwa do uznania potrzeby stworzenia wśród nich jakiejś organizacji”, gdzie specyfika, struktura i wartości każdego z nich (i wojowniczych autokratów i liberalnych demokratów) również stają wobec wydarzenia wojny. I choć każdy konflikt ostatecznie wywołują „złe państwa”, to Waltz zauważy, że „społeczeństwa tworzą ludzie, którzy w nich żyją. To samo dotyczy stosunków międzynarodowych. Ich istotą są działania państw, a dokładniej rzecz ujmując, działających w ich imieniu ludzi”. Obraz trzeci – w konsekwencji – prowadzi właśnie ku stosunkom międzynarodowym, a tym samym wypływa na szerokie wody polityki, pozwalając odkrywać jej motywy i schematy w działaniu prowadzącym do wojny lub do jej zaniechania.

Przyglądnięcia się tym mechanizmom i ich zrozumienia potrzebujemy dziś jak kania dżdżu. Wojna

w Ukrainie, wojna w Strefie Gazy, wojny i konflikty toczone się w różnych częściach świata również domagają się analiz/odpowiedzi/rozwiązań. Podczas, gdy z rozmaitych stron padają mniej czy bardziej (często bardziej) abstrakcyjne pomysły, warto sięgnąć po intelektualnie wiąż intrygującego „klasyka”. Po gdy popatrzymy w przeszłość – nawet tę najbliższą – to wiele z jego intuicji pozostaje w mocy; wiele jego analiz doskonale odpowiada na problem, wobec którego staje współczesna polityka; na który rozwiązanie musi znaleźć również współczesny człowiek. ●



Kenneth N. Waltz, *Człowiek, państwo, wojna. Analiza teoretyczna*, wyd. TAiWPN Universitas Kraków, 2023



MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu KEN w Krakowie. Zajmuje się problematyką wojny, etyką wojny, międzynarodowym prawem dot. wojny i pokoju, odbudową społeczeństw postkonfliktowych, filozofią polityki, etyką rządu. Autorka książek „Znaczenia wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą” (Biblioteka Liberté! 2018), „Oblicza wojny (Arbitror 2019)”, „Był sobie kraj. Rozmowy o Polsce” (Biblioteka Liberté! 2021). Członkini rady programowej „Igrzysk Wolności”. Redaktor prowadząca miesięcznik „Liberté!” Prowadzi podcast „Jest sobie kraj”, w którym o Polsce rozmawia z rodzimymi intelektualistami. Pracuje nad książką poświęconą *ethics of government*, która ukaże się jesienią.



PIOTR BENIUSZYS

„NAJBARDZIEJ NIEWDZIĘCZNY WYBORCA”

Kupowanie przez polityków przychylności wyborców budzi słusznie wątpliwości, lecz istnieje jak świat światem. Chyba nigdy nie znajdziemy skutecznego sposobu, aby z tym rzeczywiście skończyć. Politycy mają wyjątkowe uzdolnienia w dziedzinie obracania kota ogonem i zwykle potrafią swoim prezentom dla różnych grup nadać taki spin, że co drugi podatnik jest zachwycony takim wydatkowaniem jego pieniędzy.

Z punktu widzenia polityków pieniądze na ugłaskiwanie wyborców są dobrze wydane wtedy, gdy wyborcy są wdzięczni. Przykładowo: z punktu widzenia PiS dobrze wydane były pieniądze na trzynaste i cztertnaste emerytury. Badania społeczne potwierdzają, że w latach po ich wprowadzeniu, PiS stała się partią emerytów *par excellence* i w tej grupie jest niedościgniona niczym Sebastian Vettel. Politycy prawicy mogli więc kraść, kłamać i używać aparatu przemocy państwa do prywatnych celów do woli, a emeryci za te kilka tysięcy złotych gotowi byli oddawać im władzę do końca świata i jeden dzień dłużej.

Gorzej, jeśli pieniądze pójdą, a efektów brak. Wtedy mamy niegospodarność do potęgi, bo nie dość że

wydano w oparciu o szemrane pobudki, to w dodatku bez sensu. Niewdzięczny wyborca to koszmar każdego nieuczciwego polityka.

A rekord w kategorii niewdzięczności wyborcy pobił właśnie Tadeusz Rydzyk. Ledwie co umęczony ciężarem władzy PiS złożył jej insygnia i stracił możliwość smarowania swoim sojusznikom z państwowej kieszki, a Rydzyk już mu się odwinął i zakomunikował światu, że PiS nic mu nigdy nie dał, że on – Rydzyk – jest tylko biednym, utabaczonym emerytem. Biedaczysko na miarę XXI w.! Św. Franciszek może się schować przy tej skali nędzy i ubóstwa!

A może Rydzyk miał tylko wyjątkowo kiepski refleks i nic sobie nie uszczknął, gdy od rządu do różnych, kontrolowanych przezeń instytucji szło 400 dużych kafli w ciągu tych ośmiu lat? 224.000.000 na Muzeum „Pamięć i Tożsamość”. Kilkadziesiąt milionów (kto by liczył?) na Akademię Kultury Społecznej i Medialnej. 50.000.000 zł na budowę geotermii. 30.000.000 zł na Telewizję Trwam. 120.000 zł na konferencję „Jeszcze Polska nie zginęła” (za to mogła zbankrutować...). 50.000 zł na produkcję i projekcję „filmów związanych z lasem”. 24.000 zł

na promocję Lasów Państwowych. 16.800 zł na klipy „Sadzimy z prezydentem”. 24.000 zł na obchody Hubertusa. 335.000 zł dla Lux Veritatis w ramach „wsparcia kryzysowego”. 540.000 zł dla spółki Bonum w ramach „wsparcia kryzysowego”. 28.000 zł dla spółki „Nasza Przyszłość” w ramach – zgadliście – „wsparcia kryzysowego”. 300.000 zł za emisję spotów o zmianach w prawie podatkowym (zmian było chyba więcej niż ludzi oglądających Trwam). 192.000 zł plus kolejne 184.000 zł od resortu zdrowia na spoty w kampanii „Planuję długie życie”. 450.000 zł na projekt „Wygraj małżeństwo” (brzmi jak konkurs z nagrodami w stylu „Rolnik szuka żony”).

Wiara wielu ludzi w prawdziwość duchownych pozostaje niezachwiana. Kto usilnie pragnie, niechaj wierzy w to, że Rydzyk, obróciwszy niemal połowę miliarda publicznych pieniędzy w kilka lat, pozostał biedny niczym mysz kościelna. Ja tam jednak uważam, że powinien z rządów PiS być bardziej zadowolony niż pozostałe 38 milionów obywateli. Może zakręcenie kurka z gotówką przez nowy rząd pozwoli mu docenić utracone eldorado? Pozostaje mieć nadzieję, że nie założy profilu na OnlyFans.

BRENDA SHAUGHNESSY

PRZENIEŚĆ SIĘ DALEKO

Podobno próbują wytyczać granice w wodzie,
ogłaszać ją miejscem, narzucać jej kształt,
rozpuszczać rozpuszczalnik.

Nie rozplynie się od tego nasz przypuszczalny problem:
nie zobaczę cię więcej – mówię w komórkę. Mówiłam
do siebie. Teraz będziemy głębiej niż sami.

Jak mam dbać o naszą przyjaźń, kiedy się tak daleko przeniosę?
Nie widziałam cię od lat, ale cenię szorstkie brzegi –
wyspa urwana od kawału drania,

zużyję na ciebie swój cały opał.
Czary – cóż, to obróciło się we mnie?
Stopa ze stopów żelaznych, noga-ktoda. Życzenie symetrii.

Żar podały mi wiedźmy spod kotła,
długo i bezprawnie młode –
rosnące poszarpane granie,

wypłukane z żądz, pełne przeciwsobnych sił, nieśpieszne
skończyć czy zniknąć. Tak jakby woda nie falowała,
nie przyptywały z nią wieści,

nie odpowiadała mi jak zwierzęciu:
zazdrosna, zmiążdżona, kąpiąca się.
Pamiętam twoje słowa, że mam pamiętać,

ale zapomniałam. Twój głos jak nawleczona igła,
która kieruje się w moją otwartą ranę,
już wypaloną przed rozerwaniem.

przełożył Jakub Głuszak

Brenda Shaughnessy (ur. 1970 na Okinawie) jest amerykańską poetką i wykładowczynią creative writing na Rutgers University-Newark. Wydała sześć książek poetyckich. Publikowany wiersz pochodzi z najnowszej pt. TANYA (Knopf Doubleday, Nowy Jork 2023).

Wiersz wolny to nowa przestrzeń Liberté!, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.
Redaguje Rafał Gawin

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:

Leszek Jażdżewski

Redaktor prowadząca miesięcznik Liberté!:

Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu czytelników.

Zespół Liberté!:

Piotr Augustyniak

Piotr Beniuszys

Marcin Celiński

Sławomir Drelich

Joanna Ellmann

Marcin Frenkel

Daria Hejwosz-Gromkowska

Sławomir Kalinowski

Tomasz Kamiński

Tomasz Kasprowicz

Joanna Łopat

Magda Melnyk

Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia

i współpraca zagraniczna:

Olga Łabendowicz

Koordinacja biura Fundacji, opieka nad liberte.pl:

Joanna Głodek

Redaktor prowadząca liberte.pl:

Magda Melnyk

redakcja@liberte.pl

Koordinacja 6. dzielnicy:

Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:

Lotokot Studio

Korekta:

Piotr Beniuszys

Sylwia Dziemińska - Korekta przy kawie

Ilustracje:

- Zdjęcia na licencji CC
- Okładka: Photo by Andrew Moca on Unsplash
- Materiały IX Europejskiego Kongresu Samorządów

WYDAWCA:

Fundacja Liberté!

ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:

Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu

Leszek Jażdżewski

ISSN: 2080-4326